Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII | Warszawa, 7 października 1951 r. | Nr 40 (306)

Andrzej MICEWSKI

Miłość, gniew i sprawiedliwość

ZAJMOWAŁEM się niedawno zagadnieniami klasowymi, a szczególnie uwarunkowaniami klasowymi katolików w ich ocenach rewolucji socjalistycznej na świecie oraz w ocenach dotyczących spraw kultury.*). Analiza jakiejkolwiek postawy z punktu widzenia wpływu czynnika klasowego na treść wyznawanych poglądów świadczy o przyznawaniu dużego choć nie determinującego znaczenia temu czynnikowi. Klasowy podział dotychczasowego społeczeństwa, wpływ antagonistycznych interesów różnych klas na sposób kształtowania się procesów życia społecznego oraz na świadomość człowieka, a także zjawisko samorodnej, to znaczy powstającej spontanicznie w wyniku określonej struktury społeczeństwa, walki klas — to są wszystko fakty nie ulegające, jak to wykazaliśmy, wątpliwości.

Nie może także ulegać wątpliwości sprawa poważnego znaczenia walki klas dla rewolucyjnych zamierzeń, zmierzających do budowy klasowo nowego jednolitego społeczeństwa socjalistycznego. Ponieważ istnieją w konserwatywnej opinii sugestie, jakoby walka klas była sztucznym wytworem teoretyków i przywódców obozu rewolucyjnego, podkreśliłem wyżej, że powstaje ona samorzutnie w wyniku struktury społeczeństwa kapitalistycznego, a także poprzednich formacji społecznych, na co dowodów aż nadto dostarcza historia warstw upośledzonych w różnych okresach, a w epoce kapitalistycznej w szczególności. W warunkach działającego ruchu rewolucyjnego walka klas staje się zjawiskiem społecznym, świadomie kierowanym przez ośrodki rewolucyjne i jest oczywiście narzędziem planowej walki ze starym porządkiem lub planowego budowania nowego porządku.

POTRZEBA ROZWAŻAŃ ZASADNICZYCH

Chęć zestawienia w tych rozważaniach zasady walki klas z chrześcijańską zasadą miłości bliźniego nie jest bynajmniej wyrazem jakiegoś oderwanego, teoretycznego pryncypializmu. Powszechna w świecie chrześcijańskim potrzeba nowych rozwiązań oraz tąsknota za nową wizją doczesnego ideału historycznego, wynikającego z chrześcijańskiego światopoglądu i przełomu społecznego epoki, tworzy klimat i ambicję poszukiwań najbardziej zasadniczych. Najbardziej charakterystycznym terenem tej atmosfery jest na pewno katolicka myśl we Francji. Jeśli Francja jest dziś w sytuacji wyzwalania się z wewnętrznego, intelektualno-moralnego marazmu i rozkładu, to trzeba bardzo wyraźnie podkreślić, jakim siłom stan ten zawdzięcza. Nie wiem, czy godzi się nazwać paradoksem fakt, że tego przełomu dokonują w społeczeństwie francuskim właśnie i katolicy i marksiści. Dowodem przełomu jest z jednej strony niezwykłe ożywienie i wpływ katolickiej myśli w tym kraju, wytyczającej znów ideały, które przywracają za gubiony sens życia jednostce i dynamizują społeczeńie, z drugiej zaś strony wzrost sił, świadomości rewolucyjnej i walka francuskiej klasy robotniczej, która niesie odrodzenie całemu narodowi.

Ciekawe wnioski wynikają także z obserwacji społeczeństw anglosaskich, których tradycyjna obcość wszelkiemu pryncypializmowi jest wprost przysłowiowa i w których swoisty, mieszczański duch właściwy życiu epoki wielkokapitalistycznej zdawał się zupełnie zapanować. Tym tłumaczy się tam brak myśli filozoficznej, tym charakterystyczne zmiany życia kulturalnego, gdzie radio, telewizja i film, wypierają poezję i powieść, a w literaturze upowszechnia się na pierwszym planie reportaż. Ale ta sytuacja także już nie może ostać się wpływowi fali przełomu rozchodzącej się po całym świecie. Powrót zainteresowań religijnych np. w Anglii, na co wskazują choćby zdobycze katolicyzmu w tym kraju, idące z tym w parze coraz większe zrozumienie dla problematyki filozoficznej i światopoglądowo-ideologicznej, wzrost literatury z tych dziedzin, wszystko to wskazuje nieodparcie, że cały świat cywilizowany jest w fazie najbardziej podstawowych roztrząsań intelektualnych. Oczywiście, w tym miejscu trzeba wyraźnie powiedzieć, że w świecie kapitalistycznym stale jeszcze wszelkie katolickie rozwiązania intelektualne muszą walczyć z uwarunkowaniami klasowymi w pojęciach i kryteriach wartościowania oraz z naciskiem porządku społecznego, który chciałby skierować katolików przeciw dziejącej się rewolucji.

MIŁOŚĆ BLIŹNIEGO A „WALKA KLAS"

Powiedziałem wyżej o zamiarze konfrontowania pojęć tak zasadniczych jak chrześcijańska zasada miłości bliźniego z rewolucyjną zasadą walki klas. Potrzeba tego zestawienia jest równie chyba duża. w dzisiejszej epoce i w naszych warunkach poszukiwań ideowych, jak trudna, wobec troski o absolutną czystość doktrynalną i precyzję sformułowań. Dlatego tak potrzebne przy tych rozważaniach jest podkreślenie, że mają one stale jeszcze charakter niepełny, a ich ambicją jest zaledwie służenie w formie przyczynka do ostatecznych sformułowań, których potrzeba tak dalece daje się odczuwać.

Wydaje mi się, że mogę zaryzykować twierdzenie, iż zarówno w tradycyjnej myśli chrześcijańskiej, jak i w tak zwanym powszechnym przekonaniu katolików pojęcie miłości bliźniego i pojęcie walki klas były uważane za pojęcia diametralnie przeciwstawne.

Dalej chcę podjąć ryzyko twierdzenia, że choć naiwnością byłoby dokonywanie prostego zestawienia czy powierzchownego godzenia tych pojęć, to jednak ich konfrontacja jest dużo bardziej skomplikowana, niż by to wynikało z tradycyjnych poglądów i tak zwanego powszechnego przekonania o sprzeczności i wzajemnym wykluczaniu się tych zasad ideowo - moralnych.

Sądzę, że pełne wyniki przemyśleń w tej dziedzinie, jakieś konkretne wnioski winna poprzedzić szczegółowa analiza wewnętrznej treści obu pojęć. W tym przynajmniej kierunku winny iść w przyszłości wysiłki publicystyczne związane z tą problematyką. Tymczasem chciałbym wskazać na pewne momenty, które, jak wydaje się, odegrały w przeszłości dużą rolę w zbyt uproszczonym ujmowaniu przez katolików sprawy stosunku zasady miłości bliźniego i zasady walki klas. Szczególnie zwracają uwagę tu dwa takie czynniki. Jednym jest tradycyjne powiązanie chrześcijańskiej socjologii z solidaryzmem społecznym, a drugim specyficzne, jednostronne pojmowanie przez niektórych katolików zasady i przykazania miłości bliźniego.

JESZCZE O SOLIDARYZMIE

O pierwszej sprawie pisano już na tych łamach wielokrotnie. Problem, ujmując rzecz najprościej, streszcza się do tego, że katolicy często nie dostrzegali różnicy między moralną jednością społeczeństwa, która jest bezsprzeczną przesłanką myśli katolickiej, a organiczną jednością struktury społecznej, która była hipotezą doktryny solidarystycznej w socjologii i to hipotezą całkowicie zanegowaną przez życie, przez fakty społeczne przeczące organicznej lub jakiejkolwiek innej strukturalnej jedności społeczeństwa na danym etapie. Z moralnej jedności społeczeństwa wypływają w doktrynie katolickiej konsekwencje o charakterze moralnym, których nikt negować nie może. Natomiast te same konsekwencje moralne katolicyzmu byłyby realizowane inaczej w społeczeństwie idealnym, stanowiącym jedność strukturalną, a inaczej powinny być realizowane w faktycznie istniejącym społeczeństwie dotychczasowym, nad którego podziałem klasowym nie można w żadnym wypadku przejść do porządku. W tych warunkach zasada miłości społecznej, podstawowa w katolickich postulatach społecznych, nie może być realizowana przez negowanie faktycznie istniejących antagonizmów społecznych, natomiast może być realizowana przez walkę o sprawiedliwość społeczną. Pozbawienie klas posiadających ich dotychczasowych przywilejów temu właśnie służy.

O POJMOWANIU ZASADY MIŁOŚCI

Fundamentem i podstawowym przykazaniem chrześcijaństwa jest przykazanie miłości. Miłość oraz uniwersalizm to dwie główne zasady, które objawił Chrystus przemieniając przez to wzbogacenie pojęcia religijne i światopoglądowe Starego Zakonu. Jezus historyczny całym swym życiem ziemskim dowiódł, że jest Miłością nieskończoną. Ale byłoby niewybaczalnym błędem, byłoby niezwykłym zubożaniem katolicyzmu zbyt jednostronne interpretowanie chrześcijańskiej zasady miłości. A błąd taki popełniali ci, którzy w zasadzie miłości chcieli widzieć czułostkowość i sielankę. Zasada miłości wymaga od człowieka także tego, by był twardy i surowy. Pamiętajmy, że Objawienie ukazuje nam Jezusa nie tylko dobrotliwego i łaskawego, gdy przemienia wodę w wino w Kanie Galilejskiej, uzdrawia i wskrzesza zmarłych, ale widzimy także w Ewangelii Chrystusa zagniewanego i oburzonego, gdy wypędza przekupniów ze świątyni. Tak pisze Daniel Rops w swych „Dziejach Chrystusa" o tej scenie: „Gdy Jezus znalazł się wśród tych wszystkich kupczących, oburzył się do głębi; ukręcił bicz z kilku powrozów i począł smagać kupczyków i faktorów znajdujących się na dziedzińcu, potem wywrócił stoły i pulpity pod krużgankami i zrzucił na ziemię monety; dobrał się nawet do giełdziarzy wymieniających drachmy i sestercje. „Strawiła mnie żarliwość o dom Twój" wołał Psalmista (LXVIII). Słowa te mógł powtórzyć prorok z Nazaretu. „W przedsionku domu Pańskiego, w śródmieściu Twoim, Jeruzalem" (Ps. CXV) Jezus dostrzegł zgorszenie, a jako syn Ojca nie mógł tego ścierpieć":

Tak więc Jezus karzący przekupniów, Jezus surowy ukazuje nam inną stronę miłości i miłosierdzia chrześcijańskiego, a pamiętajmy dobrze, że tam, wtedy na dziedzińcu przed świątynią Chrystus był także Miłością nieskończoną, że w imię tej najgłębiej pojętej miłości karał kupczyków. I słusznie pisze dalej Daniel Rops: „Ten Żyd nerwowy, który nie bacząc na tłum ośmiela się podnieść głos protestu, wzrusza nas bardziej niż te pobożne figurki, które każą nam czcić człowieka mdłego, bez wyrazu i bez charakteru." Rozumienie tego aspektu miłości, jaki stał się własnością chrześcijaństwa dzięki scenie ewangelicznej wypędzenia przekupniów, daje olbrzymie konsekwencje, wywiera decydujący wpływ na ukształtowanie się chrześcijańskiego ideału wychowawczego. O znaczeniu tej sprawy dla oceny interesującej nas tutaj kwestii walki klas będziemy mówili jeszcze niżej.

KOCHAĆ CZŁOWIEKA, NIENAWIDZIEĆ GRZECH

W tej chwili chodzi mi o jeszcze jedno zagadnienie, które łączy się z problemem miłości chrześcijańskiej. Mianowicie istnieje w doktrynie katolickiej niezwykle doniosła zasada, która mówi, że katolik jest obowiązany zawsze kochać człowieka, a nienawidzieć może jedynie jego uczynki, jeżeli są złe, grzeszne i niesprawiedliwe. Zasada ta jest niezwykle doniosła, ale też trzeba się strzec idealistycznego, niezgodnego z intencją Kościoła jej interpretowania. Nie znaczy ona bowiem w żadnym wypadku jakiejś absolutnej tolerancyjności wobec grzesznika czy człowieka czyniącego niesprawiedliwość. Niewątpliwie mamy zawsze obowiązek kochać bliźniego nawet wówczas, gdyby on nam samym czynił zło, ale ta miłość wcale nie zabrania nam surowości wobec bliźniego, gdy czyni źle, tak jak nie zabrania ona wyrównywania niesprawiedliwości, której się dopuszczano. I o tym trzeba pamiętać, bo w przeciwnym razie najwznioślejsza zasada, jaką ma ludzkość, zasada miłości bliźniego i miłości społecznej zamieniałaby się w jakąś niezrozumiałą wytyczną bezsiły i tolerancji wobec zła, co jest przeciwieństwem ducha chrześcijańskiego. Oczywiście, że rozumienie przez katolików tego problemu nie jest obojętne dla oceny zasady walki klas, do czego wrócimy jeszcze dalej.

SEDNO PROBLEMU

Przejdźmy wreszcie do paru uwag odnoszących się do treści pojęcia walka klas. Przy czym trzeba już teraz wyraźnie podkreślić, że mówiąc dalej o walce klas mamy na myśli przede wszystkim świadome kierowanie walką klasową przez ośrodki rewolucyjne, a nie samo zjawisko społeczne czynnych antagonizmów klasowych, które jest dla nas bezdyskusyjne i w dotychczasowym społeczeństwie nie do uniknięcia.

U podłoża postulatu rewolucyjnego kierowania walką klas nie leży program nienawiści. Marksizm dąży do tego, by poprzez kierowanie walką klas obalić system społeczny, który ujarzmia człowieka. Celem jest więc dla marksizmu rozwój człowieka, choć oczywiście, marksistowska koncepcja człowieka różni się poważnie od koncepcji chrześcijańskiej.

Dochodzimy wreszcie do sedna omawianego problemu. Wszystko to, co powiedziałem wyżej o treś-

(Dokończenie na str. 3)

---

*) Patrz Dziś i Jutro Nr 22(288) „Rozważania o klasowości, rewolucyjności i katolickości" oraz „Dziś i Jutro" Nr 30(296) „O talmudzie, brewiarzu i księdze polskiej czyli o sprawach kultury".

List do redakcji

PRZECZYTAŁEM artykuł podpisany „L.B." pt. „Reforma rolna z perspektywy 7 lat" w nr 36 „Dziś i Jutro" z dn. 9.IX.51 r. Znajduje się tam zdanie:

„Gdy rzucimy okiem wstecz, to widzimy, że chłop zawsze, albo nie posiadał w ogóle ziemi i nawet, nie miał praw do niej, i wtedy był traktowany jako rzecz związana z ziemią i należąca do jej właścicieli, albo posiadał prawa bardzo ograniczone".

Z powyższego zdania wypływają dwa wnioski:

1) albo w Polsce chłopi nie posiadali wcale ziemi, i to od początku aż do 1945 r. — na co wskazuje słowo „zawsze",

2) albo posiadali, ale prawa ich były bardzo ograniczone.

Co do pierwszego wniosku, to nietrudno go sprawdzić. Mam przed sobą „Mały rocznik statystyczny" z r. 1937; na str. 63, znajduję tablicę 2: „Użytkowanie gruntów według rodzajów gospodarstw i według województw w Polsce w 1931 r." Ziemia użytkowana rolniczo w całej Polsce: 25.589.000 ha
W tym „gospodarstwa poniżej 50 ha" (a więc chłopskie!) 76,3%
„Gospodarstwa 50 ha i więcej" 18%
„Inne grunty" 5,7%

Okazuje się, że do chłopów należało w 1931 r. przeszło 3/4 ziemi, tj. około 18 milionów ha. Nie dość na tym. W Polsce działała ustawa o reformie rolnej, dzięki której w latach 1919 — 36 rozparcelowano 2.422.500 ha jak podaje tablica 6 na str. 65. Duża część tego rozparcelowanego obszaru przypada oczywiście na lata po 1931 r. czyli, że w 1939 r. obszar ziemi chłopskiej był jeszcze większy niż na tablicy z r. 1931. Odpada zatym pierwsza alternatywa.

Nie inaczej ma się sprawa z drugą, o „bardzo ograniczonym prawie chłopów". Jak ogólnie wiadomo, kapitalizm popiera niczym nieograniczoną własność prywatną. Nawet powierzchowna znajomość stosunków z przed 1939 r. potwierdza to teoretyczne rozumowanie. Chłopi byli ograniczeni, w tym samym stopniu, co wszyscy inni obywatele kraju, tj. mieli takie same prawa do swych zagród, co ziemianie, kupcy, fabrykanci czy kamienicznicy do swych folwarków, sklepów, fabryk czy kamienic. Inaczej nawet być nie mogło, skoro nie istniała żadna prawna różnica między chłopami a innymi obywatelami. Z resztą sam autor wypowiada tę samą myśl przy końcu artykułu, pisząc, że jedną z trudności przy wprowadzaniu nowych form rolnictwa jest nieufność chłopów, widzących w tym utratę części swych praw.

A zatem obie alternatywy są błędne. Nie mogę wobec tego zrozumieć, co właściwie oznacza całe to zdanie. W szczególności, jak autor mógł się pomylić o 18 milionów ha, o 76% powierzchni uprawnej państwa? Na powyższą sprawę pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownej Redakcji i wyrazić nadzieję, że zostanie ona wyjaśniona w jednym z następnych numerów w sposób dostępny dla ogółu czytelników.

A. S.
em. inżynier rolnik

EKONOMIA NA CODZIEŃ

JAK TO BYŁO NAPRAWDĘ?

NASZ czytelnik „Emerytowany Inżynier Rolnik" najwidoczniej zbyt pobieżnie zapoznał się z treścią wspomnianego artykułu. W wyniku tego oparł swą polemikę z nami na całkowitym nieporozumieniu. Zacytowane zdanie z artykułu „Reforma rolna z perspektywy siedmiu lat" jest bowiem najzupełniej jasne: autor, analizując przeszłość wsi polskiej stwierdza stan oczywisty, że przez długie wieki chłop polski w ramach ustroju pańszczyźnianego „był traktowany jako rzecz związana z ziemią i należąca do jej właścicieli". Wówczas to ziemi nie posiadał w ogóle. Gdy natomiast został uwolniony z pańszczyzny — „posiadał (do ziemi) prawa bardzo ograniczone". Próba przeto odniesienia całej myśli autora wyłącznie do stosunków społecznych z lat 1918-1939 wynika wyłącznie z nieprzemyślenia tez autora, który przecież nie potrzebował rozpisywać się nad historią Polski, by syntetycznie streścić, zgodnie z prawdą, tragiczną przeszłość polskiego chłopstwa.

Przejdźmy więc do porządku dziennego nad tą częścią polemiki. Nie jest bowiem naszą intencją podchwytywać oczywiste, nieporozumienia w stanowisku naszego korespondenta. Zatrzymajmy się natomiast uważniej nad postawionym w liście zagadnieniem, właściwej oceny stosunków społecznych, panujących na wsi polskiej w okresie ostatniego dwudziestolecia.

Czytelnik nasz stwierdza bowiem w swej polemice, że w Polsce przedwrześniowej trzy czwarte ziemi należało do chłopów, a reforma rolna powiększyła jeszcze znacznie ten stan posiadania. Pan A. S., niestety, nieumiejętnie korzysta z Rocznika Statystycznego, na którym oparł swą polemikę. My, ze swej strony, na podstawie Rocznika Statystycznego z 1939 roku spróbujemy jego sądy zrewidować.

Oparł on całe swe rozumowanie na obliczeniu stosunku posiadania ziemi użytkowanej rolniczo, to znaczy z wyłączeniem lasów. Wypada ono wtedy tak:

w rękach chłopów (do 50 ha) —	76,3% ziemi użytkowanej rolniczo
wielkie majątki (łącznie z dobrami martwej ręki)	23,7% „ „ „

Dlaczego jednak odliczył lasy? W ustroju kapitalistycznym lasy stanowiły bądź to własność prywatną, bądź to państwową, w każdym wypadku nie były traktowane jako dobra uspołecznione i chłop, tak jak każdy inny obywatel, jeśli nie posiadał własnego drzewa, musiał go kupować po zwykłej, wysokiej cenie rynkowej. A przecież tak na zabudowę, jak i do gospodarstwa drzewo było potrzebne. Nie ma więc żadnej racji, by, obliczając stan posiadania chłopstwa przed wojną, odliczać olbrzymie bogactwa leśne, skoncentrowane w rękach obszarników lub państwa kapitalistycznego.

Zasadnicza ta poprawka poważnie zmienia wymowę statystyki na odcinku stosunku posiadanego obszaru ziemi przez wszystkich chłopów, w stosunku do ziemi obszarniczej —

w rękach chłopów (do 50 ha) —	57,6% całości bogactw rolnych,
wielka własność —	43,4% „ „ „
z czego indywidualna własn. —	26,8%
dobra „martwej ręki" —	16,6%

Jak widać z powyższego stosunek posiadanych obszarów przez wielką i mniejszą własność nie jest bynajmniej tak idylliczny, jak by to wynikało z cyfr przedstawionych nam przez p. A.S. Pozostawiamy też na boku w tej dyskusji zagadnienie podziału dóbr chłopskich między chłopów bogatych, posiadających duże gospodarstwa, a właścicieli gospodarstw karłowatych. Również pozostawiamy na boku zagadnienie bezrolnej ludności wiejskiej, żyjącej przeważnie w najbardziej prymitywnych warunkach materialnych i społecznych.

Roczniki statystyczne trzeba jednak umieć czytać. Oficjalna wymowa cyfr potrafi umiejętnie ukrywać gorzką prawdę. Wykazany przez nas stosunek posiadanej ziemi — chłopi 57,6%, wielka własność — 43,4% nie oddaje jeszcze prawdziwego stanu rzeczy.

Tenże sam rocznik podaje bowiem na innym miejscu zestawienie ilościowe poszczególnych typów gospodarstw — oto one:

gosp. chłopskie do 50 ha stanowiły 99,5% całej sumy gospod.
właściciele większych majątków — 0,5% całości
(Rocznik statystyczny 1939, str. 68, tabl. 1)

Proste zestawienie da nam tu wiele do myślenia:

99,5% gospodarzy chłopskich posiadało łącznie	57,6% ziemi
0,5% „gospodarzy" — wielka własność prywatna i państwowa	43,4% ziemi

Jakżeż inna jest wymowa tych cyfr jeśli chodzi o właściwą ocenę sprawiedliwości społecznej rozdziału bogactw na wsi polskiej w okresie przed 1939 rokiem. Czyż ten stosunek nie uprawnia nas do twierdzenia, że chłop polski posiadał tylko znikome prawa do ziemi, mimo, iż mu się one niewątpliwie moralnie należały?

A reforma rolna?

Na tym odcinku nasz czytelnik wykazuje nie mniejszy krytycyzm.

Do roku 1938 rozparcelowano w Polsce 2.654.800 ha, co stanowiło tylko 7,5% całości gruntów wiejskich. Ziemię tę rozdzielono między 24.500 nabywców, z czego biedota wiejska stanowiła tylko 8,2% czyli 2.000 chłopów bezrolnych i małorolnych skorzystało z reformy rolnej przez lat dwadzieścia!

Zestawmy te cyfry z reformą powojenną.

W latach 1944 — 1949 rozparcelowano między ludność wiejską obszar liczący 5.944.800 ha. Obdzielono ziemią 407.500 gospodarzy, z tej liczby bezrolni stanowili 65,1%, a karłowaci — 10% — czyli, że największa biedota wiejska stanowiła łącznie przeszło 75% obdarowanych ziemią przez reformę rolną, dokonaną po wojnie.

Cyfry te mówią same za siebie. Wskazują nie tylko na rozmiary dokonanego dzieła likwidacji rażącego niesprawiedliwością stanu podziału dóbr na wsi polskiej, wskazują jednak także na złudzenia, jakimi karmiła się przed wojną znaczna większość inteligencji polskiej, która cyfry podawane w rocznikach statystycznych brała bezkrytycznie, nie widząc tragicznej prawdy o stosunkach społecznych, jakie ukrywały niewinne na pozór rzędy cyfr.

O tej właśnie tragicznej niewiedzy świadczy dalszy ciąg listu, stanowiący próbę obrony ustroju kapitalistycznego. Chłop polski, pisze nam nasz czytelnik, miał te same prawa do swych zagród co ziemianie, kupcy, fabrykanci. Otóż znów nieprawda. Prawa były tylko pozornie równe, gdyż chłop, nie posiadając odpowiednich środków nie był w stanie swej własności zagospodarować, grzązł w długach, żył w nędzy, zaprzedawał swą pracę innym. Iluż chłopów polskich wyjeżdżało „na Saksy", bądź też po prostu emigrowało, szukając za granicą pracy i chleba w najcięższych nieraz warunkach. Skąd wzięła się polska emigracja zarobkowa w Ameryce Południowej i Północnej, we Francji, w Niemczech?

Któż miał tym ludziom mówić o równouprawnieniu w korzystaniu z faktu posiadania „prywatnej własności"?

I wreszcie jeszcze jedno spostrzeżenie na zakończenie. Cyfry nie wyjaśniają wszystkiego na odcinku przemian, jakie zaszły na wsi polskiej od czasów kapitalistycznych. Obawiamy się bowiem, że nasz czytelnik, pan A.S. nie będzie w stanie zrozumieć ewolucji, jaka zaszła na wsi, jeśli nie zdobędzie się na wysiłek skonfrontowania różnicy, zachodzącej w samej koncepcji użytkowania własności w systemie kapitalistycznym i socjalistycznym. Najistotniejsze bowiem w dokonanej reformie jest nie tylko to, że tyle a tyle tysięcy rodzin chłopskich zostało obdarzonych ziemią. Dziś widzimy na przykład wyraźną tendencję do scalania tej ziemi w różnego typu spółdzielnie produkcyjne. Istotne jest to, że ustrój socjalistyczny przeznacza na obsługę potrzeb klas pracujących całość bogactw tak rolnych jak i przemysłowych, które zostały uspołecznione w wyniku dokonanych reform społecznych. Istotne jest więc, że całość dochodów, osiągniętych z majątków państwowych, całość produkcji przemysłowej inwestowana jest zgodnie z interesami klas pracujących, a nie służy do wzbogacenia poszczególnych uprzywilejowanych jednostek. Dzięki tej uspołecznionej gospodarce mamy dziś z czego budować nowe miasta, fabryki, szpitale, możemy rozbudowywać system świadczeń społecznych, rozwijać oświatę, poszerzać zasięg pracy kulturalnej.

Umysły, wychowane wśród pojęć kapitalistycznych, nie dostrzegają możliwości bogacenia się inaczej, jak indywidualnie. Nie rozumieją również konieczności indywidualnych poświęceń w okresie, gdy gospodarka narodowa nastawiona jest w pierwszym rzędzie na inwestycje przemysłowe, bez których nie może być mowy o podniesieniu przeciętnej stopy życiowej ludności. W tej samej mierze część ludnoci wiejskiej nie rozumie jeszcze, że dotychczasowe metody produkcji rolnej muszą ulec przemianie w związku z nowym sprzętem rolniczym, z nowymi zapotrzebowaniami, jakie wsi polskiej stawia już nie tylko konsument indywidualny, ale i przemysł przetwórczy, który nie może się zadowolić zróżnicowaną i przeważnie słabszą jakościowo produkcją indywidualnych gospodarstw chłopskich.

Nasz czytelnik, były inżynier rolnik, powinien, dzięki swej praktyce i doświadczeniu być głosicielem postępu na wsi, powinien być tym, który potrafi przetłumaczyć sens dziejących się przemian.

Treść jego listu wskazuje nam wyraźnie, że całą swą umysłowością tkwi on na marginesie dzisiejszej Polski. Żyje on wyidealizowanym i fałszywym obrazem Polski przedwrześniowej. Przyjęliśmy za dobrą monetę jego list, świadectwo, że pragnie zrozumieć, że szuka jeszcze właściwej drogi. Stąd też wysiłek, włożony przez nas w wytłumaczenie jemu, i wielu innym mu podobnym, istotnej treści przemian dnia dzisiejszego.

(Zastępca)

NOTATNIK POLITYCZNY

ROCZNICA PRZEŁOMU

Przez całą niemal połowę wieku dwudziestego układ sił na Dalekim Wschodzie opierał się na dwóch elementach niezmiennych — o podporządkowany wielkiemu kapitałowi militaryzm japoński, oraz o anarchię i bezsiłę olbrzymich przestrzeni państwa chińskiego.

Obszar chiński miał narzuconą klauzulę „otwartych drzwi". Miały one być nieustannie otwarte dla penetracji obcych kapitałów. Chiny miały się stać międzynarodową kolonią, w której kapitaliści wszystkich krajów mieli uprawiać „wolną grę sił", gdzie miały się mierzyć różnorodne wzrastające imperializmy. W tym wszystkim 475 milionowy naród chiński przeznaczony był na królika doświadczalnego wszelkich procesów ekonomicznych, dziejących się w świecie kapitalistycznym. Rywalizacje, kryzysy, wojny odbijały się nędzą, głodem, śmiertelnymi epidemiami na żywym ciele niezliczonych mas. Wzamian za to, na morskich krawędziach chińskiego imperium kwitły „koncesje", wyodrębnione dzielnice „białych panów", gdzie, wśród nieopisanego przepychu toczyła się walka konkurujących ze sobą kapitałów. Gdy jednak, odruchem żywotnych mas chińskich, wybuchał długo tłumiony bunt — jak na przykład osławiona rewolta bokserów, następowała chwilowa ugoda miedzy konkurującymi ze sobą finansistami i międzynarodowy korpus ekspedycyjny pod wodzą niemieckiego feldmarszałka topił we krwi wszelkie próby oporu.

Ponieważ jednak mocarstwa kapitalistyczne coraz częściej potrzebowały własnych sił zbrojnych na różnych innych obszarach przez siebie eksploatowanych, trzeba było znaleźć na Dalekim Wschodzie dostatecznie pewnego żandarma, który by potrafił skutecznie trzymać w szachu co pewien czas ponawiające się próby wyrwania obszaru Chin spod straszliwej władzy handlarzy opium. Tym posłusznym narzędziem miał być militaryzm japoński. Już w czasie powstania bokserów, krytyczną sytuację uratowała przede wszystkim szybka interwencja wojsk japońskich, idąca w odsiecz oblężonej w Pekinie kolonii białych.

Niemniej jednak długotrwałe rywalizacje i konflikty między poszczególnymi państwami kapitalistycznymi spowodowały ostatecznie wzrost nastrojów imperialistycznych w Japonii i wzmacniające się przeświadczenie, że jest ona zdolna do zmonopolizowania eksploatacji Chin bez konieczności dzielenia się z europejskimi i amerykańskimi mocodawcami. Jednocześnie jednak dyplomacja japońska na Dalekim Wschodzie, równolegle z dyplomacją hitlerowską w Europie kusiła mocarstwa zachodnie wizją, że za cenę pozostawienia im wolnej ręki, zobowiązują się do podjęcia wojny interwencyjnej w stosunku do Związku Radzieckiego.

Jakiekolwiek były koleje losów wewnętrznych rozgrywek w świecie kapitalistycznym — pewnym było, że bezwład Chin i militaryzm japoński są gwarantami, że kontynent Dalekiego Wschodu stanowić będzie pole do ekspansji międzynarodowego kapitału, najbogatszy, niewyczerpany zasób bogactw, które za darmo można wywozić, nigdy nie zapełniony rynek zbytu, na którym wszelka tandeta, wszelki towar, łącznie z trucizną może być sprzedany za cenę złota.

Druga wojna światowa dokonała przewrotu w tym stanie zalegalizowanego zysku. Siły rewolucyjne Chin, prowadzące długotrwałą, chwilami całkowicie beznadziejną walkę z obcą przemocą sprzymierzoną z rodzimą chińską reakcją, we wspaniałym zrywie, opanowały cały obszar Chin kontynentalnych. Zwycięstwo Mao Tse tunga i chińskich komunistów były równoznaczne z przekreśleniem wszystkich planów i wszystkich olbrzymich wkładów pieniężnych poczynionych w Chinach przez świat kapitalistyczny. Same Stany Zjednoczone utopiły miliony dolarów w pomoc materialną i wojskową dla Czang Kai szeka. Jednocześnie ze zwycięstwem rewolucji w Chinach — olbrzymi ten obszar został skreślony z listy tanich, kolonialnych rynków zbytu. Zwycięstwo rewolucji było jednym z najcięższych ciosów zadanych ostatnio potędze światowego kapitalizmu. Nic też dziwnego, że Stany Zjednoczone, prowodyr współczesnego kapitalizmu, od dwóch lat wzmogły intensywnie wysiłki w celu odzyskania za wszelką cenę straconych pozycji na Dalekim Wschodzie. Agresja w Korei, pomoc udzielania Czang Kai szekowi na Formozie, remilitaryzacja Japonii, interwencja w Viet-Namie, na Malajach, próby zmontowania równolegle do paktu atlantyckiego drugiego paktu agresywnego na Pacyfiku — to wszystko ukryte akty w stosunku do Chin Ludowych.

Żadne jednak manewry nie odmienią rzeczywistości — kontynent azjatycki coraz wyraźniej zamyka się przed ekspansją kapitalizmu, coraz mocniej opiera się próbom skolonizowania. Potęga materialna Chin Ludowych, połączonych nierozerwalnym sojuszem ze Związkiem Radzieckim będzie wzrastać z każdym rokiem, jej wpływ na losy poszczególnych narodów Azji, walczących o wolność, będzie coraz silniejszy.

Przed Chinami Ludowymi stoją wielkie zadania gospodarcze i społeczne. Wyprowadzić ten olbrzymi obszar ze stanu chaosu i zacofania, podnieść kulturę, zapewnić milionowym rzeszom wyżywienie, opiekę zdrowotną i oświatę — oto ogrom zadań, które najmocniej upominają się o pokojowe warunki pracy. Nie dając się sprowokować licznymi, jawnie wrogimi aktami polityki amerykańskiej Chiny Ludowe wykazały swą pełną wolę pokoju. Niemniej jednak Nowe Chiny, budujące swe rewolucyjne oblicze, zmuszone są do stałego czuwania nad bezpieczeństwem swych granic. Zabezpieczyły je dziś od strony Korei, zabezpieczą je z każdej strony skąd będzie mogło powstać rzeczywiste zagrożenie. Z całą sympatią przyglądając się dziełu odradzania się narodu chińskiego — wierzymy, że i dla tej części świata nadchodzi okres dobrobytu, pokoju i zrealizowania sprawiedliwego ustroju społecznego.

GENERAŁ GUDERIAN WYBACZA

„Le Monde", wielki dziennik paryski — jedno z najlepiej redagowanych pism zachodniej Europy — uchodziło dotychczas za organ t.zw. „uczciwej burżuazji", myślącej „obiektywnie" i szukającej jakiegoś „honorowego" wyjścia z sytuacji, która niewątpliwie dla burżuazji krajów zachodnioeuropejskich nie jest łatwa, gdyż tak się historia toczy, że coraz trudniej jest być i „burżua" i patriotą w jednej osobie. „Le Monde" pozwalał sobie na krytykę posunięć amerykańskich, drukował reportaże z wojny koreańskiej, które nie ukrywały straszliwych barbarzyństw popełnionych przez podkomendnych Mac Arthura i Ridgway'a, wystrzegał się przejścia na pozycje wyraźnie faszystowskie, na których w ostatnim roku znalazła się niemal cała już prasa burżuazji francuskiej. Z tych względów „Le Monde" wyróżniał się wyraźnie od pozostałej prasy swego obozu jakością informacji i poziomem swych komentarzy.

OSTATNI BASTION PADA

I oto w pierwszej połowie września „Le Monde" otworzył swe łamy dla nowej gwiazdy armii atlantyckiej — a starego dowódcy armii hitlerowskiej — generała Heinza Guderiana. Właśnie w tym piśmie Guderian opublikował serię artykułów. I to jakich artykułów! — Dobrze znanym, pruskim aroganckim stylem Guderian poucza rząd francuski o tym, co powinien robić „dla ocalenia Europy". Przy okazji tych pouczeń wymyśla poszczególnym ministrom rządu francuskiego, zarzuca im opieszałość, brak kompetencji itd. Te wymyślania — będące zrozumiałą manifestacją uczuć naturalnej odrazy hitlerowskiego generała w stosunku do nędznych naśladowców roboty, którą, w swoim czasie, on i jego kamraci znacznie lepiej potrafili organizować — zmierzają do mocniejszego podkreślenia „pozytywnych" wniosków kończących wypowiedź Guderiana. Te wnioski poprzedza przystępny wykład historiozofii.

Od V wieku Niemcy były przedmurzem zachodniego świata, broniły jego kultury przed inwazją barbarzyńców. Niestety, Niemcy nie zawsze mogły wywiązać się z tej szlachetnej misji, bo państwa zachodnie co jakiś czas wbijały im nóż w plecy. Tak właśnie było podczas ostatniej wojny. „Każdy może sądzić jak chce czyny Hitlera. Lecz jego walka oceniona dzisiaj, z perspektywy czasu, musi być uznana za walkę w obronie Europy. Żołnierze nasi bili się i ginęli za Europę" — stwierdza we francuskim dzienniku gen. Guderian, przełożony von dem Bacha, który na jego rozkaz palił Warszawę.

W dalszym ciągu swych rozważań Guderian rozdziera szaty: Niemcy, które pierwsze spostrzegły ogrom niebezpieczeństwa nadciągającego ze Wschodu, zostały zdradzone przez Anglię i Francję. Co więcej, w czasie okupacji Francuzi rozpętali wojnę partyzancką, która utrudniała Hitlerowi obronę Europy i dziś jeszcze zatruwa przyjazne stosunki francusko-niemieckie i hamuje utworzenie wspólnej armii europejskiej.

Lecz Niemcy umieją wybaczać — gen. Guderian pisze to wyraźnie. „Francja odgrywa dziś rolę zwycięzcy. Byłoby jej łatwo wyciągnąć do Niemiec rękę na zgodę. Francuzi mogą być pewni, że ich ręka nie będzie odepchnięta. My, Niemcy, nie mamy żadnego żalu do Francuzów i nie widzimy żadnej racji, dla której Francuzi mogliby mieć żal do nas..." Mimo że jest wspaniałomyślny, gen. Guderian stawia jeden warunek zgody Francuzom: pomoc przy odtworzeniu i dozbrojeniu Wehrmachtu oraz wolną rękę w rozprawieniu się z odwiecznemi wrogami „cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej" — narodami słowiańskimi.

Tyle gen. Guderian. Nie o niego jednak idzie. Wielu było zbrodniarzy wojennych, którzy uniknąwszy kary stali się nadzieją i oparciem dla polityki wojny prowadzonej przez rząd Stanów Zjednoczonych. Z 3.000 generałów hitlerowskich — z których większość to jawni zbrodniarze wojenni — ogromna część działa, knuje i układa plany wojenne wspólnie z generałami i politykami amerykańskimi. Podróże Guderianów, Speidlów czy Heusingerów po całym „wolnym świecie" nikogo już nie dziwią. Natomiast było pewnym zaskoczeniem, że właśnie „Le Monde", ostatni poważny organ „dobrze myślącej" opinii francuskiej, tak walnie przyczynił się do rehabilitacji zbirów hitlerowskich. Nieprawdopodobne jest tempo upadku burżuazyjnego świata. W tym wyścigu nawet burżuazja francuska nie jest w stanie utrzymać palmy pierwszeństwa.

W końcu września odbywała się w Hamburgu niemiecko-europejska konferencja poświęcona remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Różni mówcy w imieniu burżuazji różnych krajów przemawiali na rzecz natychmiastowego wskrzeszenia Wehrmachtu. Zięć Churchilla p. Sandys wołał w tych mniej więcej słowach: „chcecie bronić Niemiec na Renie wystawcie 5 dywizji, chcecie bronić Niemiec na Łabie wystawcie 10 dywizji, chcecie bronić Niemiec na Odrze wystawcie 20 dywizji, chcecie bronić Niemiec na Wiśle wystawcie 40 dywizji!" — Przy pierwszych trzech propozycjach tłum byłych SS-owców i gestapowców odkrzykiwał ponuro: „Nie chcemy" — przy trzeciej odkrzyknął gromko: „chcemy! Wir wohlen marschiren!". Po p. Sandys przemawiał p. Edward Raczyński, przedwojenny ambasador polski w Londynie, minister spraw zagranicznych w emigracyjnym rządzie Sikorskiego. Co miał do powiedzenie Niemcom „polityk" emigracyjny? „Waszą misją, żołnierze niemieccy, jest uwolnić kraje Europy wschodniej od komunizmu" — zawołał p. Raczyński, człowiek, który urodził się w województwie poznańskim.

W 1951 roku wszystkie drogi burżuazji wszystkich krajów prowadzą do jednego wspólnego rynsztoka.

ODPOWIEDŹ FRANCJI

Po artykułach Guderiana w „Le Monde" postępowa prasa francuska zawrzała oburzeniem. Z licznych wypowiedzi warto przytoczyć urywki z artykułu Lois de Villefosse, którego autor na wylot zna środowisko, o którym pisze, gdyż sam wywodzi się z wielkiej burżuazji francuskiej.

„Le Monde" oznacza po francusku „świat". „Koniec pewnego świata" — oto tytuł artykułu Villefosse'a.

„6 września minęła trzydziesta siódma rocznica bitwy nad Marną. W ciągu tych trzydziestu siedmiu lat przeszliśmy przez dwie katastrofy, które pociągnęły za sobą śmierć stu milionów ludzi. Niemiecka machina wojenna pochłonęła sto milionów ofiar. W niczym nie zmniejsza odpowiedzialności wojskowych niemieckich fakt, że przyczyny sprawcze tych katastrof leżały w rywalizacji państw imperialistycznych. Dla generałów Wilhelma II wojna była równie radosnym zdarzeniem jak dla generałów Hitlera... Jest rzeczą równie znamienną, że wystarczyło tych trzydziestu lat, by dokonał się ostateczny upadek i rozkład moralny burżuazji francuskiej.

Przed trzydziestu laty przywódcy burżuazji rzucali święte przekleństwa na „wieczystą Germanię", na jej rasę, naród, na barbarzyństwo jej kultury, na jej głód przemocy, nienawiść do Francji i żądzę krwi. Aby utrzymać nastroje szowinistyczne, by nie stracić wpływu na masy, propaganda ta musiała znaleźć jakieś oparcie w rzeczywistości i uściślić swój cel; skierowała się więc w szczególności przeciwko kaście junkrów, wielkich właścicieli ziemskich, przeciwko osadnikom pruskim żyjącym z wojny, przeciw tym wszystkim von Kluckom i Ludendorffom. Piętnowała ich w tonie podniosłym i obiecywała wypalenie żelazem pruskiego raka z ciała Europy.

Teraz, w sześć lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, w której odrodzona armia niemiecka zdruzgotała Francję, „poważny" dziennik burżuazji francuskiej zaprasza na swe łamy najsławniejszego z wojowników hitlerowskich. Dzień 6 września wybrany został jako data rozpoczynająca serię artykułów Guderiana; „Le Monde" albo już zapomniał o znaczeniu tej rocznicy albo zatracił najelementarniejsze poczucie przyzwoitości. Zaprosił Guderiana, który na naszą ojczyznę zamienioną w rozkopane mrowisko wypuścił sforę wozów pancernych. Guderiana, którego Hitler w 1944 mianował naczelnym dowódcą Wehrmachtu. Nie wstydził się zaprosić Guderiana, tego najdoskonalszego uosobienia kasty militarystów pruskich i najwybitniejszego speca jej nowej taktyki mordowania. Oto co znalazła burżuazja francuska, by śmielej patrzeć w swe przeznaczenie. Zamiast hołdu dla bohaterskiego zatrzymania hord germańskich nad Marną, zamiast hołdu dla pamięci Péguy trafionego niemiecką kulą w czoło, przywołuje wodza zmotoryzowanych hord, które wygrały w 1940 roku bitwę o Francję. Oto jej bohater".

*

„Wiemy, gdyż już przed dwoma laty ujawnił to „Ce soir", że Guderian był potajemnie wezwany do Pentagonu i miał odegrać wybitną rolę w organizacji naczelnego dowództwa armii atlantyckiej i francuskiej. Donosząc o tym skandalicznym wydarzeniu podkreśliłem wtedy w „Esprit", że taka obraza byłych kombatantów i ofiar dwóch wojen stawia w straszliwie trudnej sytuacji moralnej tych wszystkich oficerów francuskich, którzy pozostali wierni honorowi. Ale nie wierzyłem własnym oczom, ujrzawszy jak „Le Monde" w sposób widowiskowy udziela obywatelstwa europejskiego temu hitlerowcowi, z jakimi honorami przywraca mu prawa „moralne" i czyni osobą godną szacunku, więcej, czyni z niego osobistość wojskową dostojną i wybitną, o której względy i rady trzeba zabiegać; pasuje go na alianta, na towarzysza broni, na szacownego dowódcę.

Byłoby daremne z mej strony wysilać się na wyrażenie tego, co odczuwam.

Jeśli idzie o tą nową obrazę Francji i jej poległych, czy jeśli idzie o oświadczenia Trumana i jego doradcy pułkownika Wood, którzy ogłaszają, że są w stanie zniszczyć cywilizację bombami atomowymi, bombami wodorowymi, bakteriami paraliżującymi, superbakteriami i zapalającymi nietoperzami — słowa nie mają dostatecznej siły potępiającej. Na takie fakty odpowiadamy dreszczem obrzydzenia, wstrętem, którego język ludzki nie może wyrazić, gdyż nigdy człowiek nie stał w obliczu takich okropności. Nawet Hugo czy Dante, geniusze gniewu, nie byli świadkami wydarzeń tak przeraźliwych, nie musieli zaklinać takich koszmarów; przy Himlerze, Guderianie i pułkowniku Wood bledną potwory i zjawy z najbardziej krwawych legend dawnych wieków".

*

„Tym wszystkim Francuzom którzy dotychczas tego nie zrozumieli, udzielona została świetna lekcja, że amerykańska wojna w Europie byłaby wojną odwetową dla Wehrmachtu. Torując drogę

(Dokończenie na str. 10)

Miłość, gniew i sprawiedliwość

(Dokończenie ze str. 1)

ci pojęcia miłości bliźniego w ujęciu chrześcijańskim oraz o właściwym podłożu założenia walki klas w ujęciu marsistowskiego ruchu rewolucyjnego, nie znaczy wcale, że szukam zbyt łatwej syntezy, zbyt prostego skojarzenia tych dwóch zasad, powstałych na gruncie sprzecznych światopoglądów filozoficznych. Pamiętam doskonale, że miłość bliźniego jest zasadą systemu religijnego operującego kategoriami nie tylko porządku doczesnego, ale także uwzględniającego pozadoczesny, nadnaturalny los człowieka. Założenie zaś walki klas jest zasadą systemu ideowo-politycznego, realizującego współcześnie konkretne cele rewolucyjne. Stąd rewolucyjna zasada walki klas w doktrynie marksistowskiej nie uwzględnia w swej treści tych dystynkcji światopoglądowych i moralnych, jakie wynikają z systemu religijnego, konkretnie z katolicyzmu. Szczególnie, że zasada ta wyrosła z materialistycznego systemu filozoficznego, jakim jest marksizm. Stąd próba mechanicznego przyczepiania zasady walki klas do innego systemu światopoglądowego i zbyt prostego godzenia jej z zasadą miłości bliźniego byłaby działalnością bezowocną i ideologicznie fałszywą.

Natomiast z przeprowadzonego przeze mnie wyżej rozumowania wynika co innego i inaczej trzeba ten problem ustawić. Mianowicie nie chodzi o to, by katolicy mechanicznie włączali do swych poglądów marksistowskie pojęcie walki klas, natomiast chodzi o to, by katolicy po pierwsze: zrozumieli, że walka klas jest w dotychczasowym społeczeństwie faktem społecznym, z którym trzeba się liczyć, po drugie: uświadomili sobie, że świadome kierowanie procesem walki klasowej dla zrealizowania rewolucyjnych celów obalania dawnego lub umacniania nowego społeczeństwa nie jest z samej swej istoty sprzeczne z zasadą miłości bliźniego i miłości społecznej, jeśli nie odbywa się na drodze sprzecznej z zasadami chrześcijańskiej moralności w życiu społecznym.

Co to znaczy świadome kierowanie procesem walki klasowej, nie będące w sprzeczności z chrześcijańskimi zasadami moralności? Wydaje mi się, że to znaczy świadome dążenie do wzrostu siły klas pokrzywdzonych w starym ustroju oraz do ostatecznego rozbrojenia i zniesienia klas uprzywilejowanych, gdy doszło już do przełomu i zaistniał nowy porządek społeczny. Zgodność zaś tych dążeń z zasadami moralności chrześcijańskiej jest w tej dziedzinie, podobnie jak w każdej innej, zupełnie oczywistą koniecznością.

KONKLUZJE

Zasada miłości chrześcijańskiej nie jest, jak już powiedzieliśmy, założeniem przyzwolenia na gwałt i niesprawiedliwość. Także teza, że katolik może nienawidzić tylko zło i grzech, a nigdy człowieka, nie stanowi zwolnienia niesprawiedliwych od odpowiedzialności i nie zwalnia z wyrównania uczynionej niesprawiedliwości. W odniesieniu do problemu sprawiedliwości społecznej stwierdzenia te znaczą tyle, że jeśli klasy wyzyskujące nie zrezygnowały z wyzysku same, to trzeba je do tego zmusić, sprawiedliwość musi zostać wyrównana. W naszym rozumieniu niszczenie przywilejów klas posiadających, uspołecznianie własności nie ma nic wspólnego z dyskryminacją człowieka, który ma zawsze niezaprzeczalne prawo do rozwoju. Oczywiście wyjaśnia się tu problem własności, to zn. zniesienia własności prywatnej na środkach produkcji, ale stanowi on już zagadnienie odrębne i przez nas na tych łamach dyskutowane.

Powtórzmy więc jeszcze raz konkluzje powyższych rozważań. Nie postulowałem w żadnym wypadku sztucznego przyjmowania przez katolików zasady walki klas związanej z innym światopoglądem i nie leżącej w kategoriach chrześcijańskich założeń światopoglądowo-moralnych, choć jednocześnie przestrzegałem przed zbyt uproszczoną oceną tej zasady z naszych pozycji filozoficzno-światopoglądowych. Natomiast starałem się udowodnić twierdzenie, że chrześcijańska zasada miłości bliźniego i miłości społecznej nie przeczy konieczności świadomego kierowania procesami walki klasowej, w zgodzie z moralnością katolicką, w celu budowy nowego sprawiedliwego społeczeństwa.

Katolicyzm jest przede wszystkim religią i jego sfera działania ma przede wszystkim religijny charakter. Stosunek Kościoła do zmieniających się form życia społecznego, do przychodzących i odchodzących formacji społecznych, jest przede wszystkim stosunkiem oceniania ich z punktu widzenia nadprzyrodzonego celu człowieka, któremu w danych warunkach społecznych żyć wypadło. Zadaniem Kościoła jest niesienie ducha chrześcijańskiego w każde formy bytowania społecznego. Wyznawcy Kościoła jednakże, najszersze rzesze wiernych w określonej epoce mają zadanie nie tylko oceniania nadchodzących form życia społecznego, lecz winni zabiegać o ich współtworzenie. Toteż Kościół nigdy nie głosił zasady porzucenia spraw ziemskich, przeciwnie — zawsze podkreślał głęboko społeczny charakter katolicyzmu. Dlatego z taką troską staramy się i dzisiaj przemyśliwać wszystkie ideowe elementy działania katolików na nowym przełomie dziejowym.

Andrzej Micewski

Leszek PROROK

POŻEGNANIE W OSTII

STATEK miał odejść przed wieczorem. Jednak na pokład nie puszczano jeszcze nikogo. Długa galera kołysała się, pusta i lekka, przy palach nadbrzeża. Z masztów zwisały bezwładnie trójkątne żagle. Żeglarze, przeważnie maltańczycy, obnażeni do pasa, krzątali się żwawo, utykając gałganami dostrzeżone szpary i rozluźnienia w wiązaniach kadłuba. Zalewano je później smołą, która w konwiach kamiennych topiła się na brzegu. Łagodny wiatr z gór Albańskich porywał dym oraz smolne wyziewy i wiódł je w tan po nadbrzeżu. Nad rozgwarem zapracowanej czeladzi górował gromkim pokrzykiem „magister navis", znany dobrze w ostyjskim porcie Grek Attalos.

Publiusz Korneliusz Festus zakrztusił się dymem. Kasłał dłuższą chwilę, poczem wstał z kamiennej ławy.

— Chodź, Marku! Przejdziemy się trochę. I tak nie możesz wejść na statek, dopóki nie skończą.

Przechadzali się aleją, która biegnie wzdłuż Tybru. Z drogi ostyjskiej docierał tu skrzyp kół ładownych arb, które ciągnęły z Rzymu.

Publiusz ogarnął opiekuńczo ramieniem syna zmarłego przyjaciela i mówił miękkim, przyjaznym głosem.

— Wypuszczasz się zatem, Marku, na wschód. Przypomina mi to własną młodość. Hej, w twym wieku byłem już od roku w Judei. Zostałem świeżo trybunem na czele połówki kohorty, którą osierocił Marcellus.

Zamyślił się, śledząc barki, które płynęły statecznie ku ujściu rzeki. Milczał dłuższą chwilę.

— Zastanawiam się właśnie nad czymś. Myślę, że powinienem ci opowiedzieć zdarzenie, które wtedy mi się przytrafiło, a które do dziś jeszcze wywiera wpływ na me życie. Może ci się to przyda tam — wskazał ręką na wschód — a w każdym razie skróci nam teraz czas oczekiwania. Słuchaj zatem!

Byłem młody, nawet bardzo młody, gdy rozpoczynałem służbę w wojskach prokuratora Judei. Wiesz, czym jest młodość dla mężczyzny — w pierwszym rzędzie swobodą. Mieliśmy ją mimo rygorów służby. Mówię mieliśmy, gdyż było nas razem kilku z najprzedniejszej rzymskiej młodzieży. Dziś został z nich w Rzymie tylko Aleksander Calpurnius mój druh serdeczny.

Staliśmy obozem w północnej części kraju, w Galilei. Kilkanaście staj dzieliło nas od Morza Galilejczyków, tak zwą tam Jezioro Tyberiusza, na brzegach którego cesarz rzymski wzniósł miasto, nazwane jego imieniem.

Nie brakowało nam rozrywek. Igrzyska, hulanki, tańce i pieszczoty licznie stłoczonych w tym zakątku... Nie będę ci tego życia opisywał. Poznasz je sam może.

Obozowi przewodził stary Vitellus, wojak z krwi i kości. Rządny i zapobiegliwy był przytem wyrozumiały. Niejeden nasz wybryk puścił mimo oczu. Żywił słabość do rzymskiej młodzieży, on, który od młodości do Rzymu nie zaglądał, przechodząc z jednego pogranicza na drugie.

Wokół obozu kręciła się jak zwykle cała sfora dostawców. Żywność, wino, sukna, skóry dla wojska, pasza i uprząż dla koni... Znalazłeś tam kupców miejscowych, damasceńskich, Fenicjan, Nubijczyków nawet. Nie o nich jednak myślę...

W okresie, gdy zostałem trybunem, sprzęty do obozu dostarczał pewien stary stolarz z Nazaretu, Judejczyk Józef. Wojsku nie trzeba wiele, jednak trochę stołów. a nade wszystko stołków potrzebowaliśmy. Obóz nasz od lat nie ruszał się z miejsca. Byliśmy zasiedziali.

Nazaret, podłe, zaniedbane miasteczko, leży daleko, ponad siedemdziesiąt staj od obozu. Może bliżej też znalazłby się cieśla, lecz Vitellus był z Józefa zadowolony. Poznał go przy budowie Tyberiady. Rzemieślnicy z całego kraju ciągnęli wtedy nad jezioro w nadziei sowitego zarobku. Nie zawiedli się. Cesarskie miasto opłaciło im lata niedostatku, które trafiają się tam dość często.

Cieśla Józef pracował też w Tyberiadzie. Przybył nie sam, lecz z synem, który pomagał mu w pracy. Ów młody Galilejczyk — miał chyba lat dwadzieścia kilka, tyleż co i ja, gdy go ujrzałem — nosił dziwne dość imię, Jehoszua. Po latach, gdy stał się głośny, Grecy nazywali go Chrestos, co się wykłada — zbawiciel. My Rzymianie, uprościliśmy jego imię i wołaliśmy nań Jezus.

Różnił się od ojca. Józef krępy, barczysty, czarny, jak wszyscy prawie mieszkańcy Julei, pasował do zawodu, który był jego udziałem. Choć niezły rzemieślnik, nie osiągnął dostatku jak inni. Gdyby odważył się przenieść do Jerozolimy czy Cezarei, gdzie bardziej wykwintna publiczność poszukuje eleganckich sprzętów, na pewno poprawił by swój byt. W Nazarecie nieraz biedował, mimo pomocy syna i tkackiej pracy swej żony, Miriam. Najlepiej wiodło mu się w porze winobrania. Naprawiał wtedy w okolicznych folwarkach tłocznie do wina, co przynosi niezły dochód.

Jezusa nikt by nie wziął za czeladnika, gdyby go nie widział przy robocie. Smukły, nawet nadmiernie wiotki, o jaśniejszych włosach i rozmarzonym spojrzeniu, przypominał postawą raczej matkę młodszą znacznie od leciwego cieśli.

Lecz Jezus nie był złym stolarzem. Kilka razy znalazłem się w warsztacie Józefa. Nie pamiętam, czy było to w czasie konnej przejażdżki, czy też Vitellus dał mi zlecenie do rzemieślnika. Odpoczywałem w chłodzie cyprysów i sykomorów. Matka Jezusowa wyniosła mi w tykwie kwaśne wino, chudy napój ubogich warstw tubylczych. Lubiłem patrzeć, jak rówieśnik mój wprawnie struże ceder, jak kuje dłutem w drzewie, lub schyla się nad piłką. Brak ojcowskiej siły uzupełniał zręcznością. Warto było śledzić jego ruchy dla ich płynności. Patrząc nań zapominałem o rozwrzeszczanych, zapalczywych rzemieślnikach, którzy do tej pory uosabiali w mym pojęciu podłość pracy. Skłonny byłem przypuścić nawet, iż zawód stolarski, bardziej niż inne, wyrabia w człowieku łagodność.

Właśnie wtedy, jak mówię, Józef przyjął dużą dostawę dla obozu. Był już stary i znużony, lecz twierdził, że wydoła. Stoły i stołki dostarczał partiami. Przywoził je najczęściej sam Jezus na pakownej, dwukołowej arbie, zaprzężonej w osły. Straże znały go i wpuszczały do wnętrza obozu bez przeszkód. Czasem żołnierze pomagali mu rozładować wóz. Za każdym razem dostawał zapłatę, najczęściej w rzymskiej monecie, choć — jeśli mnie pamięć nie zawodzi — Józef wolał sykle hebrajskie czy choćby pieniądz grecki, gdyż go nie potrzebował wymieniać.

Miałem służbę w obozie, gdy Jezus przyjechał po raz ostatni z resztą zamówionych sprzętów. Był to, pamiętam jak dziś. nader niemiły dla mnie dzień. Poprzedniej nocy hulaliśmy zdrowo. Zgrałem się doszczętnie w kości do obcych. Zaciągnąłem dług, do tego dług terminowy na jedną dobę. Ambicja cierpiała nad tym, pomysłowość wysilała się nad sposobem zwrotu.

Ogarnięty myślą o mych niewesołych sprawach nie bardzo kwapiłem się z odbiorem roboty od Jezusa i z ostatecznym rozliczeniem, jakie mi przykazano. Nieszczęsny dług tkwił ćwiekiem w głowie i kazał, by wiązać z nim każdą myśl. Nazajutrz upływał ostateczny termin zwrotu, ja zaś niczego jeszcze nie obmyśliłem. Vitellus, który był mi starszym przyjacielem i ostoją, udał się do Cezarei, przed oblicze prokuratora. Nie miałem się kogo poradzić, nie miałem u kogo szukać pomocy. Od jednych odpychała mnie ich nieżyczliwość, od innych — własny wstyd. Gromadka wesołych koleżków była również zgrana jak ja.

Gdy Jezus, złożywszy sprzęty w szopie, czekał spokojnie na zapłatę, strzeliła mi do głowy zbawcza myśl, by mu nie wypłacić całej należności, Już nieraz — tak myślałem w owym momencie — zdawało mi się, że Vitellus przepłaca dostawców, że można by obciąć ich rachunki. Co prawda tkwiła w tym inna racja. Wojska imperatora stać na to, by omijać targi i długie spory o cenę, w których tak lubują się ludy wschodu. Blask orłów na rzymskich sztandarach nie znosi innego zgiełku niż bitewny, zaś najmniej już zgiełku kramikarzy, lecz rozdrażniony, ani pomyślałem o tym.

Wszedłem do szopy i zły przewracałem sprzęty. Proste stoły cedrowe, równo zestrużone i takie stołki. Robota była sumienna. Lecz dla mnie w dniu tym nie mogła być taka. Złapałem jeden ze stołków, który mi się wydał mniej prosty od innych. Wyrzuciłem go przed szopę i zacząłem urągać. Jezus stał spokojny i nie odezwał się słowem. Sądziłem, że czuje lęk, on skromny stolarczyk judzki, w obozie wojsk tyberiuszowych. Podnieciło mnie to jeszcze bardziej. Starałem się wykazać usterki sprzętu kilku żołnierzom, którzy przypatrywali się całej scenie. Utwierdziłem w sobie poprzedni zamiar, jakbym go nie był sam w sobie wzbudził i teraz już żywiłem nieodparte postanowienie wypłaty ceny niższej, niż ustalono. Byłem rad, że Nazarejczyk nic nie mówił. Ułatwiło mi to sytuację. Nic bowiem tak nie upewnia człowieka bez racji, jak brak sprzeciwu.

Po prawdzie nie obawiałem się Jezusa. Był zbyt łagodny, bym miał się spodziewać oporu. Co najmniej mógł zdobyć się na żal, lecz miałem nóż na gardle, cóż zatem mogły mnie obchodzić cudze żale, do tego — żale ubogiego Judejczyka. Lękałem się natomiast Józefa. Z jego krępej, choć steranej już wiekiem postaci wyzierała zdolność do pasji. Wiesz, jak potrafi wściekać się wolny rzemieślnik, gdy mu obniżyć raz ustaloną cenę. Bałem sie, by nie przyszedł później do Vitellusa z zarzutem krzywdy, szczególnie przykrym dla wojsk cesarskich. Lecz nawet w tym przypadku zyskiwałem. Wszystko odwlekało się do powrotu mego starszego przyjaciela.

Nie władałem językiem miejscowym na tyle, by samemu z Jezusem rozmawiać. Wiesz zapewne, że mieszkańcy Judei różnią się znacznie mową i obyczajem. Inny jest język Galilejczyków na północy kraju, odmiennie mówią w Samarii, jeszcze inaczej na południu, w Judei właściwej.

Zawołałem tłumacza. Przeszliśmy wszyscy trzej do mego namiotu. Na me zapytanie tłumacz dowiedział się od Jezusa, że Józef wyjechał na kilka dni w góry po świeży cedr, który właśnie spuszczają na stokach Libanu. Była to dla mnie okoliczność nader korzystna. Z kwoty należnej zgarnąłem na osobności co najmniej trzecią część i ukryłem ją. W myśli zestawiłem resztę z przywiezionymi sprzętami, pocieszając się, że zwykła dniówka robocza wynosi denara, zatem Józef z synem będą mieli nawet teraz nienajgorszą zapłatę. Nie sądziłem, by zbyt dużo czasu poświęcili prostym sprzętom żołnierskim. A jednak niepokój, który towarzyszył tym namysłom, nie ustępował.

Wstydząc się siebie samego, wysypałem Jezusowi na ręce monety z worka. Nie liczył ich, lecz wpatrywał się w nie przez chwilę. Zdawało mi się, że długie dłonie młodzieńca pachną silnie olejkiem nardowym. Czyż to nie śmieszne u prostego czeladnika stolarskiego? — przebiegło mi przez myśl. Może istotnie zarabiał zbyt dużo.

Po chwili Jezus podniósł na mnie wzrok i zapytał cicho. Nie pamiętam dokładnie jego słów, lecz sens ich oddaję chyba wiernie. Na tyle rozumiałem już dialekt miejscowy, do którego nauki zachęcał mnie Vitellus. Było to chyba — czy tyleś winien ojcu memu? — lub coś w tym rodzaju. Wlot zorientowałem się, że młodzieniec jest łatwowierny, mogę przeto wykorzystać nieobecność Józefa. Kazałem tłumaczowi zapewnić go, że taka cena została z Józefem ustalona. Wiedziony niejasnym poczuciem wstydu, rzuciłem mu z pańskim gestem na dłoń jeszcze dwa quadranse. To było najgorsze. W chwilę potem żałowałem tego, będąc pewny, iż mogłem w ten sposób odkryć Jezusowi cały mój postępek.

Nie powiedział słowa więcej. Schował monety do skórzanego trzosa, który nosił u pasa, zabrał arbę, osły i pojechał. Natychmiast oddałem mój dług, lecz nie czułem się dobrze. Postępek był niegodny Festusa. Stołek, z którego tak się naigrywałem, zabrałem na mą katerę. Jeździł ze mną po świecie. Dziś stoi w mym rzymskim vestibulum. Mały, prosty stołek hebrajski.

Jezusa nie widziałem więcej. Wszak odebrałem odeń ostatnią partię sprzętów. Zresztą niebawem w dowód wyróżnienia zostałem przeniesiony do pretorium prokuratora. Mówiono mi, iż wkrótce potem Józef zmarł. Przeziębił się w górach libańskich, czy też przemęczył się przy transporcie cedru. Ucieszyłem się, gdyż z jego śmiercią czyn mój jeszcze bardziej w mrok się zapadł. Jezus, jakem słyszał, objął warsztat po ojcu i pracował nadal w zawodzie, utrzymując matkę, do chwili, w której rozpoczął swą wędrówkę. Ponoć sam nawet miał czeladnika, jednego z tych brudnych chłopców galilejskich, których dziesiątki pasą kozy i owce na łąkach nad Jordanem.

•

ZAWRÓCILI spowrotem ku morzu, a senator Publiusz Kornelius Festus odsunął się od Marka i szedł z głową odwróconą z lekka ku niemu. — Sądzisz może, że to koniec mojej opowieści? Bynajmniej. Mógłbyś się dziwić, czemu tyle mówiłem o zdarzeniu tak błahym i tak odległym. Któż pragnie wspomnieć drobne krzywdy, jakie wyrządzał w przeszłości. Jeśli pamięta podobne drobiazgi, to raczej te krzywdy, jakich sam doznawał. Usłyszałeś początek mej opowieści, choć niewiele słów potrzebuję, by ci dopowiedzieć resztę, która trwa jakoś nadal. Dziwisz się? Ja sam się temu dziwię.

Ciekawił mnie młodzieniec z Nazaretu. Krzywda, wyrządzona mu tajemnie, jeszcze bardziej wiązała z nim mą uwagę. Byliśmy przecież rówieśnikami. Młodość lubi się zestawiać z każdym rówieśnikiem. Żałowałem go. Marnował się w swym miasteczku. W Rzymie z ujmującą powierzchownością i ogładą mógł zajść daleko, jak wielu innych Judejczyków, którym się poszczęściło. Co prawda nie garnął się do handlu, który staje się fundamentem fortuny jego rodaków, rozrzuconych po imperium. Nosiłem się nawet przez pewien czas z zamiarem, by zabrać go do rodzinnego domu, gdy będę powracał. Ojciec mój zawsze był rad zręcznym rękodzielnikom. Nazarejczykowi brakowało zapewne tylko nauki, wszystko inne: wdzięk, godność, urodę — miał od losu przydane. Odbijał w swym otoczeniu. Zamysły moje nie były jednak silne i trwałe. Brakowało mi zawsze stałości, Marku. Ojciec twój nieraz mi brak ten wyrzucał.

Na dworze prokuratora nie bawiłem długo. Niebawem imperator na prośbę rodziny wezwał mnie z powrotem do Rzymu. Opuściłem Judeę, lecz chętnie łowiłem odgłosy, jakie z tego kraiku nad Tybr docierały. Po latach doszły mnie wiadomości, iż w Jerozolimie wybuchły pewne zamieszki. W gruncie rzeczy nie masz tam im końca. Na ich czele stanął młody cieśla galilejski, Chrestos. To był mój Jezus, Marku, syn Józefa. Ogłosił się Bogiem i poniósł śmierć z ręki rozwścieczonych kapłanów. Nie masz pojęcia, co za zapalczywy z nich rodzaj ludzi. — Bogiem? — Tak, Marku! Przypadło to w latach rządów następnego namiestnika, prokuratora Poncjusza Piłata. Wiem, co mówił w kole przyjaciół o wydarzeniach tych dni w Jerozolimie. Utwierdził me przekonanie o Jezusie. Był to bowiem w opinii wielu człowiek zaiste niezwykły. Gdy mi opisywano przebieg wydarzeń, byłem tego pewny.

Nie mówię ci jednak rzeczy najważniejszej. Ten człowiek nie tylko głosił się być Bogiem. Był Nim naprawdę. — Jest Nim ciągle, gdyż nie leży w mocy ludzkiej zabić Boga. Zmienił jedynie swą postać i istnieje poza nami. Uczniowie jego twierdzą, iż taki los był dlań potrzebny, lecz ja wzdragam się przed tą myślą. Zetknąłem się nieraz z jego wyznawcami. Słyszałeś o chrześcijanach? — Nie brak ich w mieście, pośród Żydów, Greków i innych przybyszów ze wschodu. Siedzą przeważnie na Zatybrzu. Jestem od niedawna ich zwolennikiem i, wyznam ci, dzielę znaczną część ich nauki, choć niszczy ona we mnie rzymską wolność. Nie miejsce tu jednak, by o niej rozprawiać. Dochodzimy już do twej galery.

Był zatem Bogiem, najdziwniejszym z bogów, jakiego zdarzyło się czcić ludziom, tak odbiega od wszystkich, których znaliśmy dotąd. I tak oto, chłopcze drogi, zrodziła się we mnie świadomość najgorszego. Oszukałem Boga. Może jako jeden jedyny z ludzi. Gorszy ode mnie jest chyba tylko ten jego krajan, który go w końcu zdradził i wydał na śmierć oraz jego oprawcy.

— Dziwne rzeczy opowiadasz, Korneliuszu. Usiłuję cię pojąć, lecz mi to z trudem przychodzi. Czy jednak w tej delikatności nie ma przesady? Wszak niemal co dzień każdy z nas oszukuje bogów na swój sposób. Zawsze tak bywało. Jeśli nie w wielkim, to w małym chociażby, lecz to różnica miary jedynie.

— To coś innego, Marku. Sami siebie oszukujemy, a bogowie przyglądają się temu jedynie, jak sędziowie. Złość naszą wymierzamy w człowieka, gdyż bóstwa nie jest sięgnąć w stanie. Ja natomiast oszukałem samego Boga. Trzebaż było nieszczęścia, iż z ludzi mnie właśnie w takim położeniu znaleźć się wypadło... Im więcej o tym myślę, a rozmyślam dużo, czuję się jak myśliwy, który kierował grot swój w zwierza, ruszającego się w krzaku, a ugodził w człowieka, który tam się niespodzianie znalazł. Niepokój mój zrodził się z chwilą, gdym uwierzył wyznawcom Chrestosa. Tumult

(Dokończenie na str. 7)

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (17)

TAM, GDZIE NIE MA PROBLEMÓW

WSPÓŁCZESNEJ literaturze potrzeby czasu dzisiejszego nadały większą niż kiedykolwiek rangę poznawczą. Bardziej niż kiedykolwiek literatura piękna — o ile chce zostać wierna swojemu wielkiemu powołaniu — zobowiązana jest do rozwiązywania trudnych i złożonych problemów naszej epoki. Bardziej niż kiedykolwiek nęci pokusa uwyraźnienia podziału funkcji: poezji — przyznać prawo i obowiązek tłumaczenia wielkich spraw naszego czasu na język wzruszeń, prozie — przypisać obowiązek intelektualnego, problemowego ukazywania i widzenia treści i kształtu nowych dni. Naturalnie, podział taki jest podziałem domagającym się wielu zastrzeżeń. Poezja, w której zabrakłoby elementów rzetelnej kontroli intelektualnej, wcześniej czy później musi być zdegradowana przez historię do roli błahego sztambucha wzruszeń. Proza artystyczna, której zabraknie ciepłej fali wzruszeń mocnych i odkrywczych, wcześniej czy później pogodzić się będzie musiała z niezbyt zaszczytną rolą zbeletryzowanej „nauki o świecie współczesnym“.

Główna zasada podziału funkcji pozostaje jednak zasadą istotną. Centralną siłą organizującą utwór poetycki jest siła odkrywczych wzruszeń, siła twórczych napięć emocjonalnych, których kierunkowa jest jednocześnie igłą kompasu, wskazującą cel dążeń epoki i strzałką manometru, obliczającą wielkość ciśnienia idei w tej epoce. Centralną siłą organizująca utwór prozatorski jest siła rzetelnego dążenia do przeniknięcia rozumowych uzasadnień współczesnych przebiegów historycznych, siła intelektualnej pasji wytłumaczenia, a nie tylko opisania zachodzących związków między nowym człowiekiem a nową epoką.

Ta zasada podziału funkcji w literaturze wyjaśnia wiele w naszym konkretnym układzie historyczno-literackim. Stwierdzić bowiem wypada, że okres ten jest okresem, który od człowieka współczesnego wymaga większego niż kiedykolwiek udziału myśli w jego życiu, większej niż kiedykolwiek precyzji intelektualnej w określaniu i hierarchizowaniu zjawisk. Dochodzą do głosu nowe wartości, konkretyzują się i zwyciężają nowe idee, ustalają się i dynamizują nowe kierunki. Temu procesowi narastania Nowego nie sprosta tylko intuicja czy tylko zasada emocjonalnego określania swojego stanowiska wobec dziejących się dziejów. Przeciwnie, czas wykazał, że emocjonalny stosunek wobec zachodzących zjawisk, że uczuciowe tradycyjne nawyki i tzw. „mądrość serca“ nie wystarcza dla właściwego odkrywania sensu rzeczywistości.

JEŚLI pamiętamy o tym, a z drugiej strony odważymy się na stwierdzenie, że we współczesnym układzie historyczno-literackim funkcjonalna rola prozy jest większa niż rola poezji i artystyczne osiągnięcia prozatorów większe niż osiągnięcia artystyczne poetów — znajdziemy w tych twierdzeniach zgodność wyboru właściwszej formy działania pisarskiego z obiektywnymi potrzebami naszego czasu. Mówiąc prościej: czas nasz domaga się od literatury przede wszystkim procesów intelektualnych, a ponieważ procesom tym z racji swoich praw artystycznych bardziej odpowiada proza niż poezja, proza podjęła główny ciężar zadania w odkrywaniu prawdy naszego czasu i proza spełnia te zadania w sposób bardziej bezpośredni i bardziej zwycięski. Niebezpieczeństwo takich globalnych ujęć zmniejszyć by można długą serią konkretnych przykładów.

W tej chwili ważne jest ogólne ujęcie tej sprawy. Z ujęcia tego wynika jasno, że od prozy współczesnej spodziewać się należy rzetelnej — w sposób artystyczny przepracowanej — intelektualnej analizy rzeczywistości. To zadanie prozy polega przede wszystkim na wyjściu z opisu deklaratywnego ku problemom, które są problemami ciągle jeszcze nierozwiązanymi, ciągle rozwiązywanymi w trudzie nowych przemyśleń, wewnętrznych decyzji i wewnętrznych rozterek.

Im pełniej zadanie to realizuje proza, im rzetelniejszy jest jej trud przenikania w złożoną problematykę dnia dzisiejszego, im dalsze jej rozwiązania od uproszczeń intelektualnych, im większa odwaga i wnikliwość w ukazywaniu i stawianiu problemów drażliwych, ale niezwykle istotnych, problemów o dramatycznym napięciu i powikłaniu — tym większe jej prawo do dumy i poczucia spełnionego obowiązku. Im dalsza praktyka naszych prozaików od tych koniecznych postulatów — tym dalsi oni od właściwego rozumienia swych zadań.

POSTULAT maksymalnie odważnego wychodzenia naprzeciw złożonym problemom wewnętrznych decyzji i wewnętrznych przełomów ludzi, uczestniczących w trudnym dziale tworzenia nowego ładu społecznego i nowego ładu świata nie jest zamaskowaną namową do powrotu ku maniakalnemu babraniu się w szczegółach, ku secesyjnej skłonności do tworzenia pozornych problemów czy pozornych konfliktów. Chodzi o to, żeby literatura współczesna podjęła trud intelektualnego i artystycznego ukazania i wyjaśniania złożoności dziejących się przemian.

Czy literatura współczesna spełnia to zadanie? Czy narasta w niej trudny proces przenikania w mechanizm dziejów i mechanizm człowieka? Czy sprawy ludzkie znajdują w niej pełne a nie tylko powierzchowne odbicie, uzasadnienie i wyjaśnienie?

Wielokrotnie wskazywałem niedostateczną w tym względzie troskę twórców współczesnych naszym dniom. W literaturze naszej występuje niebezpieczna dla jej zadań konwencja zewnętrzności, łatwizna opisowości, płytka satysfakcja fotografizmu literackiego. Wielu twórców skłonnych jest do poprzestawania na mniej lub więcej artystycznym wykresie wzrastającej krzywej produkcji, nie starając się wnikać w mnóstwo istotnych, związanych z nią problemów, które tkwią w każdym człowieku, w każdym środowisku ludzkim, w każdej niemal pozornie jasnej i oczywistej sytuacji.

Wyrazistym przypomnieniem tego niebezpieczeństwa jest książka Romana Hussarskiego*), która jako zjawisko symptomatyczne zasługuje na chwilę uwagi. Roman Hussarski podjął temat, który wielokrotnie stanowił przedmiot zainteresowań poetów, a który to temat do tej pory jednak nie zdobył dla siebie prawie żadnego prozaika. Znamy mnóstwo utworów poetyckich o pracy budowniczych nowej Warszawy, pamiętamy także wiersze satyryczne protestujące już przeciwko „murarskiej“ tematyce, jako tematyce zbyt nadużywanej ilościowo. Poeci poprzestawali na uzewnętrznianiu pewnych stanów uczuciowych, które budzi dumne i piękne dzieło odbudowy Warszawy. Wydawało się więc, że prozaik, który w ramach koncepcji powieściowej będzie mógł szerzej „rozpracować“ zagadnienie, wydobędzie wszystkie ważne i związane z nim problemy, wydobędzie własnym trudem intelektualnym te wszystkie akcenty i te pierwiastki, które umykają emocjonalnej chwytliwości wiersza. Niestety, książka Romana Hussarskiego, pionierska niemal — co brzmi jak paradoks — w swoim pomyśle przeniknięcia w klimat i problematykę twórczych procesów przodującego oddziału warszawskich murarzy, jest książką, która musi rozczarować, książką przenoszącą sferę relacji pisarskich tam, gdzie nie ma problemów. Autor poprzestał na opisie. Oczywiście, każdy opis jest selekcją faktów. Autor dokonał takiej selekcji, w której jako nie ważne potraktowane zostały wszystkie ważne sprawy, za zasadnicze uznane zostały sprawy wtórne i pochodne.

*) Roman Hussarski. Nowy mur. Czytelnik, Warszawa 1951. str. 224.

NOWY MUR“ jest próbą artystycznego opracowania tematu niesłychanie ważnego, bo nowego stosunku do pracy, nowego ducha pracy zespołowej, w ogóle nowego klimatu pracy i nowego jej sensu. Temat ten wielki w swoich perspektywach nie doczekał się jednak rzetelnego potraktowania. Temat ten korzeniami swymi sięgający zasadniczych przełomów w strukturze społeczeństwa i w strukturze psychicznej człowieka zwężony został do wąskiego kręgu „produkcjonizmu“. Murarze Romana Hussarskiego, chociaż ukazani zostali i na tle swojego życia prywatnego i na tle zarysowujących się zrębów nowej świadomości społecznej, są ludźmi dwuwymiarowymi, ludźmi z barwnego afisza propagandowego. Problemy ich życia potraktowane zostały naskórkowo. Powieści zabrakło spojrzenia w głąb. A przecież każdy z przedmiotów uwagi pisarza stawiał przed nim ogromne zadania i dawał mu ogromne szanse wejścia w sedno sprawy. Czy to Klimek, czy Ostrowiec, czy Bielenia, czy Malowaniec, czy wreszcie Balamos kusili wprost do ukazania ich wewnętrznej struktury, wewnętrznej mechaniki i wewnętrznej prawdy podejmowanych decyzji.

Postać Ostrowca, którego potrafi autor ukazać na tle jego życia osobistego, gdyby się doczekała trzeciego wymiaru, gdyby autor zeszedł w jej głąb, stać by się mogła postacią skupiającą w sobie wiele problemów młodej generacji polskiej klasy robotniczej. Niestety, autor zrezygnował z wysiłku intelektualnego, który uczyniłby i tę postać i całą powieść odważną próbą wyjaśnienia rzeczywistości.

Cóż wiemy o Ostrowcu? Jest wzorowym robotnikiem, wzorowym mężem, wzorowym kolegą, wzorowym reprezentantem godności proletariatu warszawskiego i... wzorową makietą. Trudności jego życia prywatnego, skandaliczne początkowo warunki mieszkaniowe, zmiany na lepsze, uzasadnione zmianami ogólnej sytuacji społeczno-ekonomicznej — to tylko jedna płaszczyzna, to tylko jeden plan. Poza tym dziać się powinno coś jeszcze więcej, żyć powinien człowiek, który ma problemy ważniejsze i istotniejsze niż „oblatywanie“ gołębi. Takiego człowieka nie ma u Hussarskiego.

HUSSARSKI widzi odmienność struktur psychicznych, Hussarskiego pociągają nawet tajemnicze odmienności ludzkich natur. Hussarski potrafi zindywidualizować obserwowany przez siebie kolektyw murarski. I Balamos, i Klimek, i Bielenia, i Malowaniec są odrębnymi w kolorycie i różnymi postaciami. Ale żadna z tych postaci nie stała się żywą funkcją problemów, które są problemami wewnętrznej pracy człowieka, zbliżającej go i wiążącej go mocniej z epoką dynamicznych przemian. Związki tych ludzi z tworzoną przez nich rzeczywistością są związkami zewnętrznymi. Balamos przystępuje do współzawodnictwa pracy nie na zasadzie rozumienia i wewnętrznego przeżycia ważności nowej formy produkcji, ale na zasadzie ambicjonalnej pychy fachowca, który chce pokazać Bieleni, że przewyższa go sprawnością rąk.

To zewnętrzne widzenie człowieka i zewnętrzne uzasadnianie jego działania osłabia nie tylko artystyczną, nie tylko intelektualną, ale — w prosty sposób pojętą — społeczną funkcję dzieła. Ludzie oczekują od książki nie opisu łatwej drogi ku akceptacji nowych form, nie prostego dążenia ku mariensztackiemu happy-end'owi, ale pomocy, rady, wskazówki w ich jeszcze ostatecznie nierozstrzygniętych, z każdym dniem rozstrzygających się trudnościach i wątpliwościach. Takiej rady, takiej pomocy i takiej wskazówki w książce Romana Hussarskiego nie znajdą.

NA HUSSARSKIM zemścił się błąd typowy dla wielu pisarzy współczesnych, błąd inteligenckości spojrzenia na ludzi innej klasy. Błąd ten polega na fałszywym przekonaniu, że prostota tzw. „robociarza“ polega na symplifikatorskiej koncepcji jego życia, mówiąc wulgarnie na ograniczoności jego horyzontów i ubóstwie czy prymitywizmie jego życia wewnętrznego. Inteligent, który chce zapewnić sobie tytuł realisty, poprzestaje więc na dwóch wymiarach, na „płaskiej“ rzeźbie człowieka. A dopiero trzeci wymiar jest wymiarem w pełni realistycznym.

Hussarski ten trzeci wymiar zlekceważył. Zemściło się to na jego książce w sposób bardzo bolesny. Zemściło się to także na artystycznych walorach tej książki. Akcja tam zbyt wartka, konstrukcja zbyt symetryczna, zbyt gładka. Żadnych zawęźleń, żadnych gruzłowatości—jak w płynnie wygłoszonym referacie. Pisarz wydobywa i podkreśla te akcenty, które w jakiś sposób ubarwiają „egzotykę“ postaci. U niego robotnicy nie mówią „smacznego“, ale mówią „dobrego apetytu“. Nie mówią „godzina jeszcze wczesna“, czy po prostu „jeszcze wcześnie“, ale „godzina jeszcze młoda“. A scena, kiedy Balamos w miednicy przygotowuje „murarski napitek“, jest sceną, gdzie dążność do wykazania się znajomością realiów łamie prawdę realistycznego obrazu.

Takie stanowisko wobec przedmiotu, stanowisko zewnętrznego obserwatora czyni z „Nowego muru“ książkę wypaczającą prawdę o człowieku, a tym samym wypaczającą prawdę o nowym typie budowniczego nowej Warszawy.

Wydaje mi się, że książkę Romana Hussarskiego należy wykorzystać jako sygnał ostrzegawczy, jako symptom tendencji, które współczesnej literaturze polskiej utrudnić mogą realizację jej trudnego, wymagającego wielkiej rzetelności intelektualnej i artystycznej zadania.

Zygmunt Lichniak

NOTKI KULTURALNE

Według ostatnich danych statystycznych w Holandii mieszka 3.700.000 katolików, co stanowi 38,5% ogółu mieszkańców tego kraju.

*

w drugiej połowie września b.r. (17—24) odbyło się w Palermo „Rendez — vous w Palermo“, festiwal filmowy zorganizowany przez hrabiego Massimo Tita della Torre i Raymond Massiet.

*

Na festiwalu filmowym w Wenecji film francuski „Pamiętnik wiejkiego proboszcza“ (według powieści Georges Bernanosa) uzyskał nagrody a mianowicie: Grand Prix International, nagrodę za najlepsze zdjęcia, oraz Międzynarodową Nagrodę urzędu katolickiego.

Za najlepszą interpretację roli męskiej został nagrodzony Jean Gobine, za najlepszą interpretację roli kobiecej została nagrodzona Vivian Leigh.

*

Enrico Fulchignoni jeden ze scenarzystów włoskich ma wkrótce przystąpić do realizacji filmu pt. „Biografia Leonarda da Vinci“, według jego malowideł i rysunków.

*

W Paryżu zmarła we wrześniu rb. wielka artystka dramatyczna Ludmiła Pitoëff. Wraz ze swym mężem Georges Pitoëff, zmarłym w 1939 r. wielka artystka kreowało w Paryżu role w sztukach Bernarda Shaw, Pirandello, Ibsena, Czechowa i innych.

*

Francuskie wydawnictwo Gallimard wkrótce ma wypuścić na rynek zbiór poematów Jules Supervielle p.t. „Boire à la source“. (Pić ze źródła).

*

We wrześniu r.b. minęło 88 lat od śmierci znanego francuskiego poety i pisarza, Alfreda de Vigny, autora „Poèmes antiques et modernes“, „Destinées“, „Chatterton“, „Servitude et grandeur militaire“.

*

W Instytucie produkcji peniciliny oraz innych antybiotyków Akademii Nauk Medycznych w ZSRR, pod kierownictwem profesora Z. W. Jermoliwej uzyskano nowy antybiotyk — ekmolin.

Preparat ekmolin — bezbarwna przezroczysta ciecz uzyskana z oczyszczonych, bezbiałkowych, antymikrobowych substancji — jest bardzo skuteczny przeciw grypie.

*

Już w roku bieżącym w ZSRR ukaże się pierwszy tom słownika dialektów ludów zamieszkujących Związek Radziecki.

*

Poeta belgijski Charles — André Grouas opublikował niedawno niewydaną dotychczas pracę Ronsarda. Jest to jego przemówienie wygłoszone przed Akademią Henryka III.

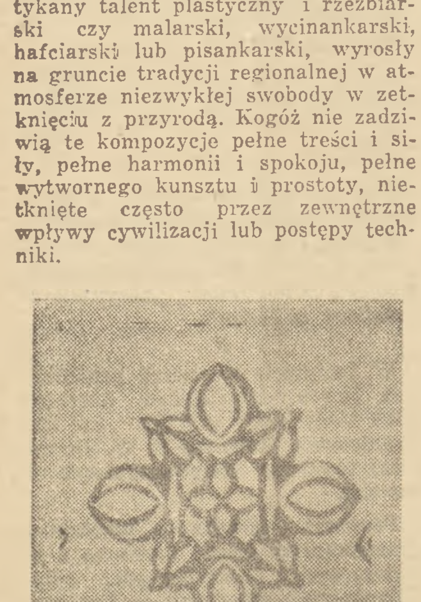
Chwalisław ZIELIŃSKI

SZTUKA I PRZEMYSŁ LUDOWY

NAD OKREŚLENIEM tego, co to jest sztuka, a co to jest przemysł ludowy, wielu zastanawiało się, ażeby należycie sprecyzować te dwa tak sobie bliskie, tąk jednak różne pojęcia, i w rezultacie ustalono mniej więcej w ten sposób, że sztuka ludowa jest to twórczość samorodna, powstająca z wewnętrznej potrzeby na własny użytek, z własnego materiału, w jednym egzemplarzu, oparta o tradycje etniczno-regionalne o charakterze artystycznym, dekoracyjnym lub zdobniczym, a przemysł ludowy — jest to produkcja seryjna, masowa, powstająca przy pomocy rodziny lub sąsiadów, z własnego lub nabytego materiału, traktowana jako praca zarobkowa przy pozostawieniu charakteru użytkowego i artystycznych cech regionalnych.



Te dwa pojęcia — sztuki i przemysłu ludowego bardzo często przez szeroki ogół są nierozróżniane i zarówno jedno jak i drugie nazywane jest powszechnie mianem sztuki ludowej, co oczywiście musi sprzeciwiać się założeniom gałęzi przemysłu ludowego. Ale nie to jest ważne, czy należycie rozróżnia się poszczególne artystyczne zainteresowania ludu, czy nie, ale to, ażeby należycie rozumieć wartość i ich znaczenie w kulturze ogólnej i mieć należyte do nich podejście. Przecież tak blisko żyjemy i tak często spotykamy się z tą niepowszechną siłą i potęgą chłopa polskiego w jego twórczości ludowej. Któż nie ma podziwu dla kunsztownego i pełnego swoistego wdzięku budownictwa wiejskiego, dla jego celowości układu, zdobnictwa, wyposażenia, formy i kształtu. Kogóż nie zastanawia charakterystyczne i misterne niekiedy w swoich kształtach sprzętarstwo i urządzenia domowe. Kto nie podziwia i nie zachwyca się bajecznie kolorowymi strojami regionalnymi przepięknie ozdobionymi i zestawionymi w kolorze. Kogóż nie zachwycają i nie pociągają proste a pełne uroku pieśni ludowe lub tańce. Kogóż nie interesują obrzędy, zwyczaje i tradycje ludowe tak bardzo pielęgnowane wśród ludu z nieodłączną muzyką, śpiewem i tańcem. Kogóż wreszcie nie zastanawia spotykany talent plastyczny i rzeźbiarski czy malarski, wycinankarski, hafciarski lub pisankarski, wyrosły na gruncie tradycji regionalnej w atmosferze niezwykłej swobody w zetknięciu z przyrodą. Kogóż nie zadziwią te kompozycje pełne treści i siły, pełne harmonii i spokoju, pełne wytwornego kunsztu i prostoty, nietknięte często przez zewnętrzne wpływy cywilizacji lub postępy techniki.



ZAGADNIENIA twórczości ludowej dla ich niezaprzeczalnych wartości obecnie znalazły zupełnie inne zrozumienie u władz niż przed wojną. To, co nie sprzyjało pomyślnemu rozwojowi twórczości i nie prowadziło do jej racjonalnego upowszechnienia, zostało usunięte, a zastąpione systematyczną opieką i troską o rozwój poszczególnych zainteresowań twórczych oraz ochroną zarówno terenenu regionalnego jak i pojedyńczych ośrodków .

Przed wojną zagadnienie to traktowane było raczej indywidualnie, albo przez poszczególnych naukowców, albo przez organizacje lub instytucje mniej lub więcej powołane w tym celu, ażeby krzewić lub badać przejawy twórczości ludowej albo też eksploatować szczególnie dziedzinę przemysłu ludowego. Ten sposób traktowania zagadnienia twórczości ludowej zamykał się oczywiście w bardzo wąskim kręgu ludzi zainteresowanych naukowo jakimś problemem lub też w większym zazwyczaj gronie osób zrzeszonych zmuszał do rozwoju przedsiębiorstwa handlowego, łącząc wysiłki i zmagana ludzi dobrej woli i prawdziwych miłośników folkloru, którzy czasem z nadmiaru entuzjazmu do tak zwanej swojszczyzny posuwali się za daleko, chcąc widzieć w tym rzekomo ogólny charakter polskiej twórczości, szczególnie plastycznej albo co gorsza „stylu", jako trwałego wyrazu polskich kształtów narodowych w sztuce.

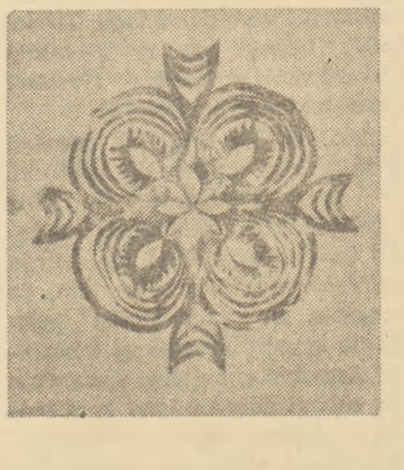
Wszystkie te wysiłki pojedyńczych osób lub instytucyj często błądzących i niewłaściwie rozumiejących zagadnienie, które podejmowali się rozpracować, przejęło Ministerstwo Kultury i Sztuki i czuwa nad twórczością ludową i opiekuje się zarówno wszystkimi jej przejawami, jak i tymi, którzy z tymi zagadnieniami mają mniej lub więcej coś wspólnego.

Z inicjatywy Ministerstwa i pod jego egidą powstają w terenie powiatów państwowe muzea regionalne; na uniwersytetach odpowiednie zakłady naukowe, w urzędach administracyjnych powołuje się osobne specjalne do tego komórki nadzorujące i kontrolujące wszelkie poruszenia w terenie i organizujące imprezy sztuki i przemysłu ludowego.

Wreszcie powstają instytucje państwowe do badań naukowych i popierania wszelkiego rodzaju imprez.

Cała ta olbrzymia, obejmująca zagadnienie sztuki i przemysłu ludowego, machina skupia w sobie dziś wszystkich, którzy moją wspólny cel i zadanie racjonalnie wytyczone nie tylko w kierunku badań i opieki nad twórczością, ale również i dla upowszechnienia twórczości oraz jej rozwoju tudzież opieki nad samym twórcą.

WCIĄGU tych sześciu lat zdziałano bardzo wiele. Urządzono wiele wystaw w kraju i za granicą. Zorganizowano wiele wszelkiego rodzaju konkursów, które dały poważne osiągnięcia. Rozdano wiele nagród pieniężnych, które niesamowicie przyczyniły się do rozbudowania zainteresowań i pobudziły do twórczości drzemiące talenty. Udzielono indywidualnie pomocy wielu twórcom ludowym, zachęcając w ten sposób do dalszej pracy twórczej.



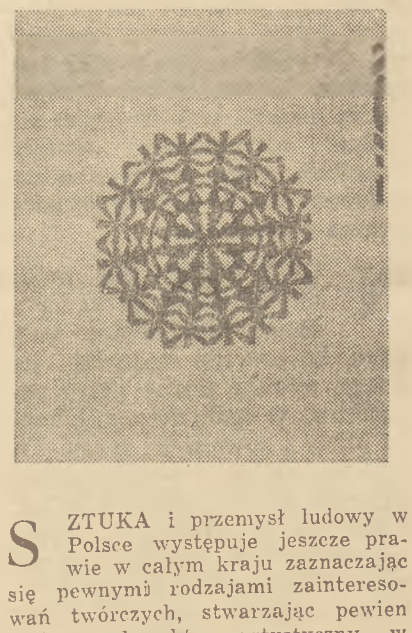
Udzielono wreszcie cały szereg cennych rad i wskazówek.

Przeprowadzono cały szereg badań naukowych w terenie poszczególnych regionów. Założono wzorcownie. Zorganizowano kursy. Założono cały szereg spółdzielni i instytucyj. Pootwierano wiele zakładów. Wydano cały szereg publikacyj, książek, broszur i periodyków na temat sztuki i przemysłu ludowego. Słowem stworzono najlepsze warunki do tego, aby zagadnienie twórczości ludowej zarówno w odniesieniu do przeszłości, teraźniejszości, jak i do przyszłości znalazło wyraz nie tylko w wyniku badań, ale żeby postępowało też w rozwoju nad pogłębianiem i rozbudzaniem zamiłowania do tego, co daje wymowne świadectwo o poziomie naszej kultury w tej warstwie społeczeństwa, która stanowi strukturę i rdzeń naszego narodu.

Ministerstwo Kultury i Sztuki dla szuki i przemysłu ludowego ma doniosłe znaczenie szczególnie w tym czasie, kiedy po wojnie wpływy zewnętrzne stwarzają coraz to większe trudności w utrzymaniu odpowiedniego poziomu zarówno artystycznego jak i regionalnego. Sam fakt opieki i pobudzenia do twórczości konkursami i nagrodami sprawia, że ze wsi wyłaniają się coraz to nowe talenty, a granice zainteresowań artystycznych ciągle poszerzają się wzbogacając tematykę twórczości nową treścią aktualnych zagadnień społecznych i przemian.

Powstające nowe instytucje jak np. Państw. Instytut Sztuki, Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego ze swymi ekspozyturami skupiającymi cały szereg spółdzielni rejonowych w terenie powiatów, rozwijając działalność, Państw. Zespół Ludowy Śpiewu i Tańca w Karolinie i t.p. podejmują nowe zadania folklorystyczne kierując napływ wszelkiego rodzaju talentów, zagadnień i potrzeb nowej rzeczywistości i włączają w nurt życia państwowego.

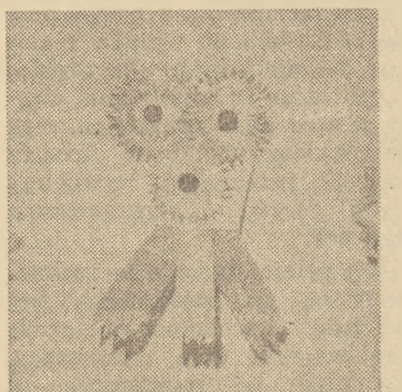
Działalność Ministerstwa Kultury i Sztuki jest konieczna dla pogodzenia postępu z samorodną twórczością, która właściwie cierpi z powodu częstych nieporozumień powstających z braku należytego pojmowania cywilizacji i przyjmowania jej na wsi. Ministerstwo prągnąc pogodzić te dwie wartości na wsi spełnia właściwą rolę na tym odcinku i dlatego twórczość sztuki i przemysłu ludowego dziś nabrała innego znaczenia i innych warunków, w których rozwija się.



SZTUKA i przemysł ludowy w Polsce występuje jeszcze prawie w całym kraju zaznaczając się pewnymi rodzajami zainteresowań twórczych, stwarzając pewien etniczny charakter artystyczny, w obrębie którego rysują się mniejsze lub większe ogniska w zależności od upodobań, potrzebują, a także warunków lokalnych okolicy, jej zamożności, zatrudnienia oraz rodzaju fauny i flory. I tak np. jeżeli chodzi o samą twórczość to w regionach górskich dość silnie występuje jeszcze budownictwo ze wszystkimi swoimi właściwościami tj. formą, kształtem, rozplanowaniem, rozkładem izb, wykończeniem wewnątrz i ozdobą, nie mówiąc o rodzaju budownictwa bardzo typowego dla warunków lokalnych, jakimi jest budowa drewniana, podczas gdy gdzie indziej budownictwo już zanika.

Poza tym w regionach górskich poza popularnie występującym jeszcze wszędzie tkactwem i strojem regionalnym przechowały się tradycje obrzędowe i zwyczaje regionalne z bardzo charakterystycznym, nieodstępnym śpiewem, tańcem i muzyką. Regiony górskie mają może jeszcze najwięcej warunków do rozwoju i podtrzymania wszelkiego rodzaju zainteresowań twórczych i dlatego zarówno sztuka ludowa jak i przemysł znajdują tam doskonały grunt dla skupienia w sobie wartości artystycznych i rodzajów poszczególnych gałęzi przemysłu ludowego.

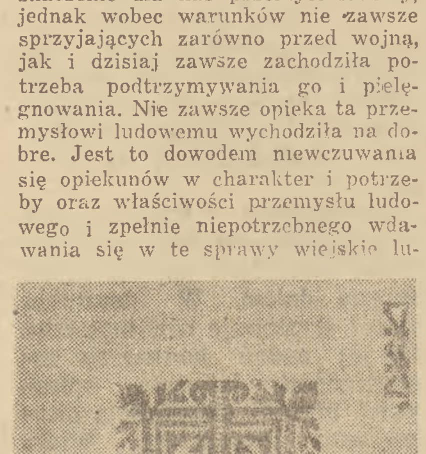
Okręgów takich, które wyodrębniają się określonym mniej lub więcej jednolitym charakterem artystycznym i skupieniem w sobie pewnej ilości .występujących zainteresowań twórczych, jak np. tkactwo, stroje, ceramika, rzeźba, malarstwo, wycinanki, pisanki itp. możemy wymienić kilkanaście. Podział ten oczywiście zależny jest od zasięgu danego okręgu, w którym zespół zainteresowań skupia się wokoło większego środowiska zazwyczaj miejskiego i dlatego nazywamy region: zakopiański, krakowski, kielecki, lubelski, białostocki, łowicki, opoczyński, sieradzki itd, albo też twórczość ludowa obejmuje niekiedy większy zasięg, obejmując dzielnicę kraju i tworzy pewną całość, a wtedy określa się szeroko zakreślonymi granicami dzielnic np. region podhalański, śląski, mazowiecki, kurpiowski kujawsk, wielkopolski itp. W tych regionach czasami występują jeszcze charakterystyczne ośrodki twórcze, które swoją odrębnością zasługują na wyróżnienie i tak np. ceramika iłżecka, bolimowska, kaszubska, tkaniny białostockie, malowanki zalipińskie, skrzynie krakowskie, hafty, koronki kurpiowskie, śląsko-cieszyńskie, zapaski piotrkowskie, radomskie, łaskie, łódzkie, czarnocińskie, wolborskie, wycinanki łowickie, opoczyńskie, kurpiowskie, lubelskie itd. Te określenia wskazują na to, że dzieło sztuki lub przemysłu ludowego odnosi się do upodobań i charakterystycznych cech regionalnych danej okolicy i że zarówno treść dzieła jak i jego wartości zewnętrzne są wartością tych wszystkich, którzy jednakowo czują i myślą artystycznie.

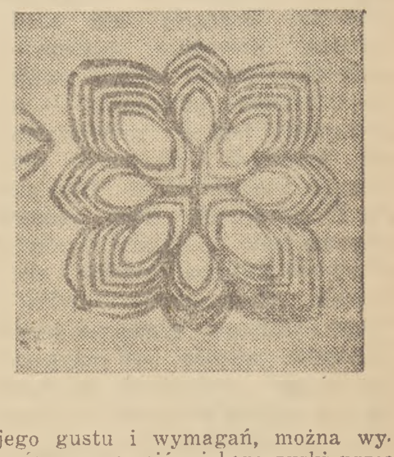


WOBRĘBIE regionów, czy to poszczególnych dzielnic, czy też ośrodków, ludność nie ogranicza się do jednego jakiegoś tylko zainteresowania twórczego, ale zazwyczaj spotkać można cały szereg upodobań zarówno odnoszących się do sztuki jako wyłącznych przejawów wzruszeń artystycznych dotyczących osobowości pojedynczych autorów lub całego środowiska jak i przemysłu ludowego, traktowanego jak wiadomo zarobkowo.

W sztuce ludowej głównymi zainteresowaniami twórczymi opartymi o tradycje, cechy etniczne i regionalne będzie niewątpliwie budownictwo, tkactwo i stroje ludowe, plastyka ludowa, w skład której zaliczyć trzeba malarstwo, rzeźbę, grafikę, wycinanki i pisanki oraz t.zw. pająki, ozdoby z papieru i ze słomy, a także haft i koronki. Do tego trzeba dodać obrzędownictwo ze wszystkimi zwyczajami, muzyką, śpiewem i tańcem.

Nie trzeba podkreślać, jakie ma znaczenie dla nas przemysł ludowy, jednak wobec warunków nie zawsze sprzyjających zarówno przed wojną, jak i dzisiaj zawsze zachodziła potrzeba podtrzymywania go i pielęgnowania. Nie zawsze opieka ta przemysłowi ludowemu wychodziła na dobre. Jest to dowodem niewczuwania się opiekunów w charakter i potrzeby oraz właściwości przemysłu ludowego i zpełnie niepotrzebnego wdawania się w te sprawy wiejskie ludzi nie mających pojęcia o wartościach i znaczeniu przemysłu ludowego. Słusznie też powiedział jeden z najlepszych naszych etnografów prof. Tadeusz Seweryn że „przemysł ludowy powinien wyrastać z potrzeb wsi". A jeżeli chodzi o jakiekolwiek wpływy z zewnątrz, to „można bowiem na targach czy wystawac' ułatwiać wytwórcom ludowym zbliżenie się do handlowców miejskich zetknięcie się z nabywcą, poznanie jego gustu i wymagań, można wytwórcy zapewnić większe zyski przez udogodnienie zbytu, przez organizacje spółdzielcze itd., to są rzeczy ważne bezspornie i skutecznie wspierające przemysł ludowy, ale i to prawda, że oparcie wytwórczości ludowej o konsumpcję wiejską zasili ją życiodajnymi sokami. Naginanie zaś przemysłu ludowego do wyłącznej konsumpcji miejskiej wiedzie do mechanizacji, odartej z pierwiastków twórczych".





„Z drugiej strony stwierdzamy — pisze prof. T. Seweryn — że wytwórcy ludowemu potrzebna jest nie tylko materialna podpora jego pracy, ale i moralna. Dla niego, podobnie jak i dla artysty miejskiego, ma duże znaczenie świadomość, że to, co on kocha, uznane jest przez wiejskie czy miejskie autorytety. Ten to właśnie czynnik opinii, świadomie stosowany być winien przez tych, którzy naprawdę orientują się w wartościach twórczych ludu i szczerze je odczuwają".

Dlatego to działalność Min. Kultury i Sztuki poprzez odpowiednie instytucje, mające na celu rozwijanie przemysłu ludowego, prowadzi do najbardziej właściwego nastawienia i roztaczania nad nim fachowej opieki naukowca i rzeczoznawców. Szczególnie te zadania podejmuje Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego w całej Polsce jeżeli chodzi o stronę raczej produkcyjną i handlową przemysłu ludowego, a nakowo roztaczają opiekę Instytut Ludowy i Muzea Regionalne lub Etnograficzne, jeżeli chodzi o sztukę ludową i jej twórczość.

Chwalisław Zieliński

Ś.P. Dr Stahr — wybitny filolog i patrysta polski

WPIERWSZYCH dniach wakacji szkolnych b.r. zmarł w Poznaniu wybitny patrolog i pedagog w zakresie filologii klasycznej — dr Jan Stahr. Mimo że nazwisko Zmarłego jest mało znane w kręgach inteligencji polskiej, a to z powodu niezwykłej skromności i unikania rozgłosu przez ś.p. dr Stahra, trzeba zdać sobie sprawę z faktu, że społeczeństwo katolickie, a szczególnie nauka katolicka, poniosła ogromną stratę.

* * *

Ś.P. DR JAN STAHR odznaczał się niezwykłą skromnością. Zawsze pragnął pozostawać w cieniu i dlatego nie brał udziału w tzw. życiu towarzyskim. Nie znaczy to, że stronił od ludzi. Przeciwnie: był bardzo ludzki, miłosierny, współczujący. Cechowała go stale jakaś niezwykła pogoda. Uśmiech stale gościł na twarzy. Można powiedzieć, że przy swej wewnętrznej pokorze, a skromności na zewnątrz oraz owej niezwykłej pogodzie ducha — szedł Zmarły franciszkańskim śladem.

Niewiadomo zresztą czy właśnie św. Franciszek nie był Mu najbliższym nauczycielem, mimo że czytywał pilnie, tłumaczył, a nawet wydawał pisma Ojców Kościoła. Wskazywał na to styl życia, jakie prowadził, głęboka wiara i ufność w Miłosierdzie Boże. Doszedł do Boga samotnie, drogami nauki, głębokich studiów jeszcze w okresie młodych lat. Przyjął Chrzest i stał się jednym z najcichszych i najgoretszych sług Bożych. Wielu z Jego uczniów pamięta Go jeszcze dziś, jak przed lekcjami, w dzień powszedr, przystępował do Stołu Pańskiego. Tak jak żarliwa była Jego wiara, tak piękne było Jego życie w promieniach Łaski Bożej. *(tj)*

Michalina PAZDRO

LEON BLOY PO WIELU LATACH

LEON Bloy L' Impatient (Niecierpliwy) Alberta Beguin'a rok wydania 1944, Szwajcaria, to chyba jedna z najlepszych książek francuskich o Bloy. Tak tytuł, motto, jak i dedykcja książki są zapowiedzią i uzasadnieniem wspólnoty duchowej autora studium z pisarzem.

„C' est la propre de l'amour que d'etre impatient, et l'amour extreme est extrement empatient" (Miłość jest z natury rzeczy niecieplіwa, a miłość największa jest najbardziej niecierpliwa). Po takim motto, dedykuje Beguin swoją książkę Stanisławowi Fumet słowami: „en communion d'impatience" (we wspólnocie niecierpliwości) i dodaje jeszcze wstęp, który jest jakby auto-recenzją i zapowiedzią zamiarów autora.

ESSAY'E Beguin'a, to spora książka o 278 stronicach, wspaniale udokumentowana, pisana z ogromną znajomością tematu i subtelnym wnikaniem w tajniki skompliwowanej psychiki tego niezwykłego człowieka i pisarza, jakim jest Leon Bloy. Beguin podaje w swych czterech rozdziałach, jakby czterech zrębach, zasadnicze elementy duszy, a zarazem twórczości Leona Bloy.

Beguin przełamuje od razu szablonową opinię o dziełach Bloy następującą trafną myślą:

„Jeśli taki człowiek wydawał się tak... monstrualny wśród nas, czy jest to pewne, że dotyczy to jego monstrualności, czy raczej naszej? Również naszą winą będzie, że Bloy był przez lata niezrozumiany, winą naszej ciemnoty, naszej „społeczności bez Boga", ona to wytworzyła ten wieloletni dystans między pisarzem, a społeczeństwem". Francja — pisze Beguin, która pojęła i przeżywała rozpacz wojny hitlerowskiej zrozumiała teraz Bloy jak nigdy i wreszcie stał się on dla niej konieczny. W epoce sobie współczesnej Bloy przerażał anachronizmem swej dalekosiężnej idei, spisanej w ciągu 40 lat (1877—1917) w przeszło 60 tomach dzieł. Obecnie coraz bardziej staje się jasne, że bez niego nie byłoby ani Peguy, ani Bernanosa w literaturze, w myśli katolickiej współczesnej Francji. Są to dzieci z potężnego pnia myśli i życia Bloy: jego jakby konary i rozgałęzienia, których był impulsem i natchnieniem, ojcem duchowym lub chrzestnym. Lecz współcześni Bloy nie mogąc ani pojąć ani aprobować, ani też kazać mu milczeć, lub kupić go — otoczyli go wieloletnim spiskiem milczenia, fałszując w ten sposób małodusznie prawdę o Bloy. Lecz ani ignorancka opinia, ani też ignoranckie milczenie na dłuższą metę nie odniosły zwycięstwa.

„Il n'y a vrai que ce, qui est Absolut" (Prawdą jest tylko absolut) — zakłada Bloy nie uznając względności, w konsekwencji stwierdza: „Istnieje tylko jeden smutek, że NIE JESTEŚMY ŚWIĘTYMI!" (Il n'y a qu'une tristesse, c'est de N'ETRE PAS DES SAINTS"). — Zdanie to wedle określenia Beguin'a jest „żywym ogniskiem" życia wewnętrznego Leona Bloy.

Pierwszy z czterech essayów Beguin'a dotyczy roli Cierpienia u Bloy: rozważanie to pomaga nam ujrzeć życie duchowe Bloy w słusznej perspektywie. Cierpienie bowiem jest główną nicią przewodnią dzieła i życia religijnego tego „człowieka kontrastów", kontrastów przeżytych i w dziele zaklętych, gdzie Cierpienie — Radość i Gniew — kontemplacja, to jakby matka i córka. Takie myślowe zestawienie jest osobistym odkryciem Bloy z 1895-go roku. Problem Cierpienia przenika całe dzieło Bloy, wszystkie jego książki, dziewięć tomów pamiętnika i całą korespondencję. Bez tej zasadniczej roli, jaką spełnia cierpienie u Bloy, niesposób pojąć całości jego dzieła. Cierpienie nie jest u niego, ani mądrością, ani rozsądkiem, ani zrezygnowaną zgodą, ani też liryzmem romantycznym, lecz jest niezmiernie płodnym i aktywnym, permanentnym stanem gwałtownej miłości". Cechą szczególną będzie tu wzajemna wymiana cierpienia, lub dobrowolne branie cierpienia cudzego na siebie, cierpieć za innych, dla innych, z ich wiedzą lub bez ich wiedzy, jest to ta „Reversibilitè" (Odwracalność) w cierpieniu, dopuszczalna i możliwa dla wszystkich dusz we wszechświecie; czas tu jakby nie istnieje; w Cierpieniu nie ma tego co jest, co było, co będzie. — Takie Cierpienie cudownie i skutecznie działa i na władze umysłowe i na serce człowieka. Oczywiście, że tłumaczy się to miłością bliźniego, i to w maksymalnych, bloystowskich rozmiarach, aby drogą wymiany cierpienia i modlitwy dawać siebie, dając swój ból.

Istnieje cała teoria Leona Bloy o cierpieniu; czerpie ona swe soki odżywcze z miłości indentyfikującej, jak u klasyków mistycyzmu. Cierpienie z Radością, przy czym sprawa umyślnego cierpienia, praktykowaną u Bloy konsekwentnie i heroicznie, jest dalszym ciągiem jego przemyśleń religijnych. Solidarność, odwracalność oraz ponadczasowość cierpienia — to wszystko jest u Bloy jakby siatką, którą kreśli artysta malarz dla rozplanowania konstrukcji całego obrazu.

*

NASTĘPNY essay Beguin'a stawia nas wobec problemów Biedy, Pieniądza i Izraela. To trójca wiąże się u Bloy z najbardziej rewolucyjnymi ideami skierowanymi przeciw wszelkiej niesprawiedliwości ustroju kapitalistycznego. Bloy przeżył osobiście krańcową biedę, bywał często wykorzystywany i krzywdzony przez możnowładców pieniądza. Przez swoje inwektywy przeciw nim stał się dla współczesnych burżujów prawdziwie żenującym, przyznawał się bowiem do „wspólnoty w niecierpliwości ze wszystkimi zbuntowanymi, opuszczonymi, niewysłuchanymi, wszystkimi potępionymi tego świata". Solidarność Bloy z Nędzą tej ziemi, ma swą specyficzną cechę; oburza go nie tyle nierówność materialna, istniejąca w sercach ogółu, ta zgodność na straszliwą krzywdę biednych, usankcjowana ustrojem kapitalistycznym. Szczególnie Zjadliwe a jednocześnie najwspanialsze inwektywy miotał Bloy na tych katolików, którzy uważali bogactwo za przywilej, uzależniając od niego swe szczęście.

Stanowisko Bloy wobec narodu żydowskiego było na wskroś pozytywne. Najgoręcej potępiał on wszelki antysemityzm oraz gorąco bronił tezy o „wybranym narodzie", sygnowanym przez Boga do głównej roli w dziele Zbawienia. Ten problem u Bloy został pogłębiony w osobnej książce, której sam tytuł świadczy, jak oceniał Bloy naród żydowski: „Le Salut par les Juifes" (Zbawienie przez Żydów). — Również osobiste przyjaźnie Leona Bloy z wielkimi przedstawicielami tego narodu stanowią interesujący materiał poznawczy dla tego problemu.

W trzecim i czwartym essayu śledzi Beguin, pod przedwodnictwem Bloy, dzieje chrześcijańskie i dzieje francuskie, zatrzymując się dłużej na postawie i historii Napoleona, służącej mu za przykład szczególnie interesujący do teori o Symbolizmie Histori. Wieloletnim wysiłkiem Bloy było odszyfrowanie świata stworzonego, pojętego jak Tekst Boski i stworzenie „widoczności" tam, gdzie dla naszego zawoalowanego wzroku istnieje jedynie nieprzezroczysty świat natury i histori. „Egzegezy historyczne Bloy, żywione wewnętrznym poznaniem, stają się oczywiste", stwierdza Beguin. Przemyślenia jego w czasie wojny z 1914 — 1918 lat pełne są przeżyć odnoszących się jakby bezpośrednio do naszych czasów, do wojny lat 1939—1945. W myślach tych poznajemy sens bloystowskiego „optymizmu sprawiedliwości", który jest uzasadnieniem i wytłumaczeniem jego „niecierpliwości".

*

WSZYSTKIE drogi myśli Bloy prowadzą do tych samych punktów stycznych. Beguin stwierdza, że essaye jego nie są krytyką w znaczeniu sądu o Bloy. „Wydawało mi się wystarczające i bardziej odpowiednie" — pisze w zakończeniu — bliżyć czytelnika do „sekretu" dzieła i duszy Bloy, przez cztery zbieżne drogi dlatego wybrane, że czynią one fakty i pytania naszych czasów przystępniejszymi".

Przez swoje 4 essaye staje Beguin „jakby u progu" całego systemu najbardziej wewnętrznych medytacji Bloy o Trójcy, Raju Ziemskim, Najświętszej Pannie, przyjściu ostatecznym Ducha Świętego. Całe te niezmiernie trudne rozmyślania, opierające się na olśniewających głębiach kontemplacji, służą u Bloy do odszyfrowania Pisma św. lub historii. Jak wszyscy wielcy pisarze, cierpiał Bloy nad niewystarczalnością słowa, chcąc wyrazić „widok Boga stracony przez człowieka". Lecz „L'Absoluf est intranscriptible" (Absolut jest nie do opisania). Dociekania Bloy trawionego przez pożądanie Boga, pożeranego z ciałem i duszą przez wszelkie głody ziemi i nieba, tworzą syntezę jego powołania, pozwalając nam odszyfrować najgłębsze Symbole.

„Nie umniejszajmy go Bloy, sprowadzając do rozsądku naszej przeciętności" — apeluje Beguin. Sam Bloy wyraził to we właściwej sobie hyperbolicznej myśli o duszy burżuja: „La haine del' Heroisme et de fonte sorte, de grandeur".

Beguin posługuje się obficie i swobodnie cytatami z dzieł Bloy, co w tego rodzaju pracy jest nieodzowne jako jedyna i skuteczna metoda, podkreślająca cykliczny nawrót odkrywczych prawd Leona Bloy, wiążących dzieło w sensową całość.

Michalina Pazdro

Kali

SYLWETKI i zdarzenia

W stronę Tłumackiego

Zanim Imćpan Frydrych Schulz z Inflant, posłany do Króla Ciołka, zdąży na gospodę, słońce układzie się w śpiewną kolebę puszczańskiego Kampinosu. Albowiem słońce sobie, a Imćpan Frydrych Schulz sobie. Jak się ono obijało po swoich wertepach, tak i on, choć nie młokos, tłukł ode świtu inexorabilem sempiternam po pylnych polskich drogach, którym czart nie zna gorszych. Licho zaś nadało tamtą karczmę. Brr! Przypięli się do nieboraka bracia — szlachta, okropnie podpici, wyściskali, oślinili, okurdeszowali i nuż mu moczyć karbejtel w piwsku i siwusze. Imćpan Frydrych Schulz był naczczo. Strąbił się też wcale po szewiecku i, o, wstydzie, nigdyby się nie wygramolił do karyty, gdyby nie pomoc postylionów.

Warszawa gasi we Wiśle szkarłat i złoto. Imćpan Frydrych Schulz ziewnął, szeroko otwierając usta. Łaknie wczasu.

— Na gospodę!

Żwawy postylion przyprzęgnął parę chmyzów i pociągnęli w górę, w Bednarską, z Bednarskiej w Krakowskie. Koło figury Matki Boskiej Passawskiej pamiątki Odsieczy, którą Imćpan Frydrych Schulz uparcie uważa za zbyteczną, niewiasty kończą Godzinki. Zmierzcha. Ku Miodowej, od Zamku, płyną pochodnie. To królów rodzony, Książe Prymas, kwapi się na Senatorską. Co piątek u niego recepta, CAUSETTE. Zjedzie mnóstwo dystyngowanych, osobliwie dam. Nie ustąpią aż dopiero o północy, syci pogwarki, curków i niedawno sprowadzonych z Chin owych smagłych ziółek, które miłą wonią parują z farfurów.

Kościoły, Bernardynów i Świętej Klary, zamknięte na głucho. Nad Kolumną Zygmunta miga gwiazda. Święty Jan ukrył się za kamienicą Płochockich.

— Wasza Miłość każe na Tłumackie?

Dokądżeby indziej! Pod „Białego Orła". Imćpan Frydrych Schulz, niemiec, popiera imćpana Polza, niemca, który prowadzi „hotel i restauracją, odznaczającą się obszernością pokojów, położeniem ich wesołem i jasnem, nawet czystością i porządkiem, acz lubo wiek nie taniością". Będzie temu rok. Imćpan Frydrych Schulz płacił za trzy pokoje piętnaście talarów dobę, nie żałował wszelako ekspensu. Pod „Białym Orłem" niemasz żebraków i facjendarzy, którzy są zmorą hoteli na Marywilu. W obu bramach, dzień i noc stróżuje szwajcar i pędzi ich do kaduka. I z uderzeniem dziesiątej za nic nie puści nowozu w dziedziniec, dlatego pod „Białym Orłem" lepiej wypoczniesz niż w „Hotel de Pologne" na Senatorskiej, pełnym nieustannej wrzawy.

Zgaga i ściskanie w dołku zrejterowały i wilczy głód upomniał się o swoje. Imćpan Frydrych Schulz widzi oczyma smakowitą warszawską kiełbasę, kiszkę z ryżem i wątrobną, pasztet, baraninę ze śmietaną, nogi z czosnkiem i wędzonkę. Obok szpecjału nad szpecjały, czarnej gęsi z przaśnym miodem, imbirem i pieprzem.

Tra-ra, tra-ra-ra-ra!

Kościół Karmelitów w tyle i Posta Saska, i Marywil, i Kanoniczki. Srebrny od księżyca, postylion wniebogłos otrębuje przed „Białym Orłem" przyjazd Imćpana Frydrycha Schulza.

Pożegnanie w Ostii

Dokończenie ze str. 4

zdarzeń w Jerozolimie obudził we mnie zapomnianą chwilę młodości.

Pamiętasz, com ci mówił o Jego słowach z dnia pamiętnego? Czyś tyle winien ojcu memu? Gdy przypominam sobie brzmienie jego głosu, gubię się w domysłach, co miał na myśli. Czy pytał prosto i łatwowiernie, czy też tkwiła w jego słowach myśl ukryta? Rozpytywałem chrześcijan — wiem, że podczas swej wędrówki po Judei wiele mówił o ojcu, lecz nie miał na myśli poczciwego Józefa.

Z zakrętu alei wyjrzało nadbrzeże i domy Ostii. Naprawę statku już ukończono, gdyż obok galary mrowił się barwny tłum. Ludzie Marka wnosili ładunki na statek. Attalos zniknął z pokładu, zapewne w pobliskiej tawernie. Senator Publius Kornelius Festus zwolnił wyraźnie kroku. Wspomnienie korciło, by o nim wypowiedzieć wszystko do głębi. Jego młodemu towarzyszowi zdawało się, iż przyjaciel ojca mówił bardziej do siebie z wewnętrznej potrzeby, niż do słuchacza.

— Czy boisz się zemsty tego boga, Korneliuszu?

— Był czas, żem się tego obawiał, lecz Bóg chrześcijan nie jest mściwy, Marku. Ponoć lubił wybaczać. A nadto skoro przybrał ludzką postać, może godził się z tym, że go potraktuję jako człowieka. Żal mi doskwiera, bom jeden raz w życiu stał w obliczu Boga i odsłoniłem mu najgorszą stronę mej natury. Zmarnowałem chwilę, którą posiądzie może ledwie jeden człowiek na setki lat. Teraz wydaje mi się jakby na resztę życia przywiązano mi ciężar do bark. Może to taki stołek, kształtem jak ten przywieziony z Judei, tylko odlany z brązu lub miedzi, ugniata mi krzyże. Codziennie powtarzam sobie: Korneliuszu Festusie, jesteś człowiekiem, który oszukał Boga. Masz rację, oszukiwali bogów ludzie w baśniach. Prometeusz, Ulisses — to były bajki, potrzebne ludziom dla śpiewania piękna. Jam okradł Boga na prawdę. To nie była zabawa.

Znów szli chwilę w milczeniu, poczem Publiusz Korneliusz odsłaniał dalej swe myśli.

— Jakiż to wszystko dziwne. Wiele sprzętów z warsztatu Józefa zostało tam do dzisiaj wśród ludzi. Pomyśl, ilu ludzi w Judei siedzi na stołkach, ilu jada przy stołach, które im zrobił Bóg, tym strugiem, piłą i młotem, które może do dziś jeszcze służą jakiemuś innemu rzemieślnikowi...

— Cóż w tym dziwnego, przyjacielu? Wszystko, co mamy, od bogów przecież pochodzi.

— Ale nie tak, jak tamte sprzęty. Wszystko przychodzi do nas z innej strony. Bóg, czy nawet inni, dawni bogowie, byli nad nami; służyliśmy im, wzamian obsypywali nas darami. Tu Bóg zjawił się pod nami niejako. Usłużył nam, jak sługa — niewolnik niemal. Od tego zdarzenia, a raczej od chwili, gdym nabrał przeświadczenia, iż to Bóg pracował w nazareńskim warsztacie, nie mogę oprzeć się dziwnemu poczuciu. Boję się patrzeć w oczy tych, którzy nam służą. Gdy staję z uszkodzonym rydwanem przed kuźnią, gdy rzemieślnik upina na mnie togę, gdy tragarze niosą mnie w lektyce, lękam się, że z której twarzy wyjrzą na mnie oczy Tamtego. — Tak. To dziwne, Marku. Zbyt dziwne, byś w tej chwili zdołał objąć wszystko młodocianym umysłem...

— Jeśli czujesz ciężar, czemu nie usiłujesz pozbyć się go składając ofiary.

— Chrześcijanom są obce nasze ofiary, ja zaś — i to ci wyznać muszę — nie pojmuję w pełni, czego żąda ich Bóg. Czynu mego nie zmieni żadna ofiara. Stał się już. I cóż dalej chcesz pytać?... Ci, którzy Go bliżej znali, a są tacy w Rzymie, powiadają, że jest miłosierny. To samo On mawiał o swym Ojcu, z którego bierze się początek i koniec. Ta nadzieja zostaje dłużnikowi, który chcąc jeden dług spłacić, zaciągnął drugi, stokroć bardziej lichwiarski. Po dziś dzień płacę odeń odsetki niepokojem i wstydem.

Podeszli już całkiem blisko galery. Fale rzeki z cichym pluskiem opływały skrzywiony brunatny ster. Za podniesioną rufą statku, uwiązane na konopnej linie, kołysało się czółno. Z galery wyrzucono pomost na wybrzeże. Deski skrzypiały pod bosymi stopami tragarzy. Byli wśród nich ludzie Markowi. Włodarz poganiał ich krzykiem. Odświeżony Attalos z nowym animuszem troczył przy pomocy majtków nowe sznury do żagli. Galera gotowała się śpiesznie do wyjścia na morze. Młody Rzymianin wstąpił na pokład.

— Żegnaj, czcigodny opiekunie! Pozdrów przyjaciół na Forum! Dzięki za twą opowieść. Będę miał nad czym rozmyślać w podróży.

— Ave! Ty zaś pozdrów ode mnie ziemię judzką. Może spotkasz jeszcze kogo z tych, z którymi służyłem w legionie. Brak zacnego Vitellusa, bym cię mógł jego życzliwości polecić. A gdybyś przypadkiem trafił do Nazaretu, przejdź się po miasteczku. Może dopytasz się o skromne obejście cieśli Józefa. Nieduża kamienna chata wśród cyprysów, obok szopa z cedrowych bali. Nieopodal studnia. Wokół krzewy i zarośla pełne ptaków. Obejrzyj sobie wszystko dokładnie. Tam mieścił się warsztat Jezusa.

Leszek Prorok

Jerzy Andrzej GÓRSKI

Teatr Drezdeński w Warszawie

W CIĄGU dwóch lat, jakie minęły od dnia polskiej prapremiery „Niemców" Leona Kruczkowskiego, sztuka ta przeszła przez kilkadziesiąt bez mała scen naszych i zagranicznych, spotykając się wszędzie z nader życzliwym przyjęciem tak ze strony fachowych krytyków jak i najszerszej publiczności. W Niemczech utwór Kruczkowskiego wywołał ze zrozumiałych względów szczególne zainteresowanie — świadczy o tym ilość teatrów w NRD, któ-



Alfons Mühlhofer jako Marinelli w sztuce „Emilia Galotti" Lessinga

re wystawiły „Sonnenbrucków", ilość przedstawień i imponująca liczba widzów. Lakoniczne dane zaczerpnięte ze statystyki teatralnej świadczą najdobitniej o wartości sztuki, o prawdziwości interpretacji ukazanych w niej zjawisk, o pełnym autentyzmie i o realistycznym podejściu autora. I dzięki tym walorom „Sonnenbruckowie" są nie tylko doniosłym wydarzeniem kulturalnym, ale równocześnie posiadają wielkie znaczenie społeczno-wychowawcze, zwłaszcza w Niemczech. O sztuce tej pisano już tak wiele, zarówno o niej samej jak i o wszystkich związanych z nią problemach, że zbędne wydają się dalsze uwagi na ten temat. Sądzę, że najlepiej ujmuje stosunek publiczności niemieckiej do „Sonnenbrucków" jeden z drezdeńskich widzów, który pisze: „Patrzymy w lustro i ze zgrozą rozpoznajemy własne twarze. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że rozpoznanie starych błędów, jakie popełniliśmy, jest pierwszym krokiem do poprawy". Utwór polskiego pisarza stał się walną pomocą dla tych milionów już dzisiaj Niemców, którzy nie szczędząc wysiłków pracują dla zjednoczenia wszystkich swych miłujących pokój rodaków, orężem w toczonej przez nich walce z remilitaryzacją i odradzającym się w strefach zachodnich neohitleryzmem.

Należy podkreślić z zadowoleniem fakt, że bawiący ostatnio w Warszawie na gościnnych występach Drezdeński Państwowy Teatr Dramatyczny NRD przedstawił nam również swoją inscenizację „Niemców". Wprawdzie publiczność polska miała już niedawno okazję oglądać „Sonnenbrucków" w wykonaniu niemieckich aktorów, ale chodziło tu o film, a zatem mieliśmy do czynienia z zagadnieniem zupełnie odrębnym. Tym niemniej kreśląc poniższe uwagi chciałbym uwzględnić porównawczo także niektóre kreacje filmowe. Warto przypomnieć przy tym, że obsada poszczególnych ról w filmie pokrywa się w dużej mierze z obsadą sztuki wystawionej przez Teatr Berliński.

Pierwsze spostrzeżenie narzucające się już w pierwszych minutach spektaklu to zwiększenie, jeśli można to tak nazwać, autentyzmu przez fakt języka dialogów. Niemcy mówią po niemiecku — to stwarza atmosferę bardziej sugestywną i rzeczywistą. W związku z tym warto zaznaczyć, że realizatorzy filmu popełnili błąd, każąc Francuzom, Polakom, Norwegom mówić po niemiecku — zamiast rozwiązać ten problem na wzór „Ostatniego etapu" — tak, by przedstawiciele każdego narodu mówili swoim językiem. Oczywiście, koncepcja ta może zdać egzamin tylko na ekranie.

Wróćmy jednak do inscenizacji drezdeńskiej. Bardzo dobry przekład Horsta Holschuhera pozostając wierny tekstowi oryginału wydobył jednocześnie szereg efektów (w pozytywnym znaczeniu tego słowa) wzmacniających wymowę poszczególnych scen i mocniej zarysowujący postaci sztuki. Weźmy chociażby kapitalny moment rozmowy Hoppego z profesorskim małżeństwem i cały bezmyślny dryl oddany w jedynej a stale powtarzanej odpowiedzi „ja, ja, ja wohl". Hoppe próbuje nawet, bardzo lękliwie, wyrazić swój negatywny pogląd na hitlerowskie metody rządzenia w okupowanej Polsce, gdy nagle, dostawszy się między przeciwne poglądy swych autorytatywnych rozmówców, chowa się jak przestraszony ślimak w skorupę służbistej formułki. Zgodzi się na wszystko, na czarne i na białe jednocześnie, byle się nie narazić, byle za wiele nie rozważać. Rolę tę bardzo wyraziście i prawdziwie odtworzył Hans Finohr zarysowując nader typową sylwetkę żandarma. Drugą scenę z jabłkiem, w mieszkaniu Sonnenbrucków, zagrał z umiarem ograniczając się do subtelnie wykonanej a wyrazistej bardzo mimiki i oszczędnego gestu, nie rozbudowując tego epizodu, jak to zrobił wykonawca tej roli w Teatrze Współczesnym w Warszawie, do histerycznego wybuchu. Hoppe Finohra opanowuje się szybko i zapomina o rzeczach niemiłych, określanych jako odruchy sumienia.

Duża kultura gry i umiar środków ekspresji cechuje zresztą w narzucający się sposób cały zespół. Nawet tak wspaniała okazja do szarży (wykorzystana niestety i w Teatrze Współczesnym i w filmie) jak kończący drugi obraz szok nerwowy Marikke w wykonaniu Helgi Göring stała się popisem gry aktorskiej na najwyższym poziomie. Göring w krótkiej swej roli ukazała zresztą wszystkie cechy swego talentu, który ocenić mogliśmy w pełni następnego dnia w „Emilii Gallotti". Obok niej z ról kobiecych wyróżnia się Charlotte Friedrich jako Berta Sonnenbruck, okazowy typ niemieckiej mieszczki spod znaku osławionych trzech K cesarza Wilhelma, operującej na zawołanie wiekowymi hasłami szowinizmu i cytatami z „Das Reich". Miłość ojczyzny i rodaków — to dla niej przede wszystkim nienawiść ślepa i nieumotywowana do wszystkiego co nie niemieckie. Znacznie słabiej wypadła rola drugiej przedstawicielki nienawiści w typowo już hitlerowskim wydaniu — Lisel, grana przez Lotte Gruner. Patologiczne wręcz cechy tej postaci, dla której nienawiść jest jedyną siłą witalną, nie zostały dość uwypuklone. Lisel była tu bardziej głupią, lojalną gęsią niż Walkirią spod znaku swastyki. Znacznie lepsze w tej roli były kreacje Kossobudzkiej (Teatr Współczesny) i Irene Korb (film „Die Sonnenbrucks").

Jeśli z kolei oceniać będziemy grę Ingeborg Otmann (Ruth), wypada zwrócić uwagę także i na koncepcję reżyserską tej roli, różną, moim zdaniem, od intencji autora, zrealizowaną raczej choć też niezupełnie w ramach pozostałych dwóch wspomnianych tutaj wariantów inscenizacyjnych. Ruth chce żyć pełnią życia, mocno — co w jej rozumieniu oznacza jak największą sumę wrażeń, reprezentuje typ kosmopolitycznego artysty i poszukiwacza przygód w jednej osobie. Taką ukazuje się początkowo na scenie we wszystkich trzech inscenizacjach. Reżyser filmowy każe jej doznać wstrząsu na widok egzekucji, niedwuznacznie sugerując rozpoczęcie się w tej chwili wewnętrznego przełomu. Podobny błąd, przed którym ustrzegł się Axer, popełnił reżyser drezdeński a za nim i Ingeborg Otmann. Ruth idzie patrzeć na egzekucję nie dla nowej porcji silnych wrażeń, ale dla zbadania prawdziwości przyczyn nienawiści, jaką Francuzi czują do okupanta, jakby dla potwierdzenia dojrzewających w niej oskarżeń, zdania sobie sprawy ze zbrodni hitleryzmu. Gest, którym powstrzymuje gefreitera od wyprowadzenia Fanchette z bistro, jest zdawkowym raczej gestem uprzejmości wobec dziewczyny, która ciekawi ją jako etnograficzny okaz, a w geście tym jest i chęć okazania swej siły i artystowska niechęć do ludzkiej rozpaczy. Ruth nie jest zapewne świadomą sadystką, jednak późniejsze jej słowa, przecież już po obejrzeniu egzekucji: „wie stark man kann jetzt leben" dowodzą jak bardzo hitlerowska jest jej „radość życia" i wykluczają możliwość dokonania się przed tym jakichkolwiek przełomowych zmian w jej psychice. Podobnie nieuzasadnione jest porozumiewawcze skinienie głową w stronę Petersa w momencie wyjazdu na uroczystość — decyzja uratowania go zapada później znacznie, na podstawie dość skomplikowanych przesłanek. Ruth dostrzega w Petersie przede wszystkim człowieka samotnego i silnego w swej samotności, człowieka, który walczy z ustrojem ładu i porządku, którego ona nie znosi dlatego, że jest nudny a nie dla jego okrucieństw. A do tego wrodzony „esprit de contradiction" i pragnienie silnych przeżyć — stale obecne w podświadomości. Ruth, tak jak odtworzyła ją Ottmann, może nasunąć błędny wniosek, że w kosmopolitycznej, bezideowej postawie artysty, którego ojczyzną jest jakaś mętna sztuka przez duże S i którego nic poza nią nie obchodzi, mógł być immanentnie zawarty pierwiastek humanitaryzmu. Zarzuty kierować jednak należy pod adresem koncepcji roli a nie wykonania, które znamionowało dużą klasę gry. Traute Richter jako Fanchette wypadła dość bezbarwnie i szablonowo, nie potrafiła pokazać widowni francuskiej dziewczyny, którą ból czyni silniejszą jeszcze i utwierdza w pogardzie i wrogości do okupanta. Udało się to w Teatrze Współczesnym Mrozowskiej, Śląska natomiast wyraźnie rolę swą w filmie przeszarżowała, w czym spora wina reżyserii (okrzyk z dymnika Vive la Resistance).

W rolach męskich na czoło wysuwają się Willi Kleinoschegg (prof. Sonnenbruck) i Alfons Mühlhofer (Peters). Sylwetka starego liberała uczonego w swym mniemaniu w błogiej nieświadomości służącego faszyzmowi, człowieka, który „jest przeciw" ale pozostaje zupełnie bezsilny, tchórzliwy w momencie próby, zarysowana została wyraźnie i z dużą kulturą. Bierność wobec faszyzmu jest działaniem na jego korzyść — prof. Sonnenbruck jest jaskrawym potwierdzeniem tej prawdy. Hitleryzmowi nie potrafi przeciwstawić nic poza nieszkodliwymi manifestacjami w rodzaju nie przyjęcia butelki francuskiego koniaku. Wydaje mu się, że protestując w czterech ścianach swego domu reprezentuje inne, uczciwe Niemcy. Nie dostrzega swego kapitulanctwa nawet wtedy, gdy chce wypchnąć Petersa na ulicę, gdy przejęty strachem zmienia tekst swego przemówienia. I trzeba dopiero ofiary Ruth i tragicznego oskarżenia rzuconego przez Petersa, by wstrząsnąć starym naukowcem, by zrozumiał swój błąd i zdał sobie sprawę z dotychczasowej ślepoty. Kleinoschegg stworzył kreację bardzo naturalną, jego prof. Sonnenbruck jest w swym zewnętrznym wyglądzie, ruchach, sposobie mówienia typowym wykładowcą z Gettyngi czy Heidelbergu i przeżywa swój dramat w sposób głęboko wzruszający widownię, bez sztucznego patosu i gierek.

Doskonałym partnerem Kleinoschegga jest Mülhofer w roli Petersa. Najlepszy to Peters ze wszystkich, jakich widzieliśmy. Dzięki jego grze główny mankament sztuki polegający na umieszczeniu rozwlekłych dialogów nieusprawiedliwionych i rażących sytuacyjnie zaciera się i traci na ostrości. Peters Mülhofera to śmiertelnie znużony, ranny w nogę zbieg z obozu, nie gaduła, nie działacz ulegający agitatorskim nawykom w nieodpowiednich momentach. Oto na chwilę upadł powalony zmęczeniem i niemocą, ale nawet wtedy walczy, walczy słowem a za kilka godzin podźwignie się i pójdzie dalej walczyć aż do zwycięstwa. Mülhofer głęboko wczuł się w rolę tego świadomego bojownika-komunisty, ani na chwilę nie tracącego z oczu celu, ku któremu zdąża. Peters zna gorycz niemieckiej samotności lecz wie, że idzie jedyną słuszną drogą, że będzie padać i znowu podnosić się, ale dojdzie. Nie przeraża go śmierć ani cierpienie. Obdarty, ranny, ścigany, triumfuje nad całą potęgą hitlerowskiego państwa. Peters Mülhofera na długo wrywa się w pamięć widza. Scena, gdy kulejąc powoli przechodzi przez scenę, by zniknąć w mroku niemieckiej nocy idąc naprzeciw świtu, należy do najbardziej wstrząsających w całej sztuce.

O pozostałych członkach zespołu, Peter Herdenie (Willi) Willi Damannie (Tourterelle), Annie Kynast (p. Sörensen) i innych powiedzieć można i trzeba, że razem z wymienionymi już poprzednio reprezentują wysoki poziom gry aktorskiej w rzeczywistym nie konwencjonalnym znaczeniu tego słowa. Wszystko to, role przeżyte i starannie dopracowane. Zasługa ta niewątpliwie i reżysera Martina Hellberga, który stworzył z „Sonnenbrucków" na drezdeńskiej scenie głęboką przejmującą wizję czasów pogardy. Dekoracje Ulricha Damrana odznaczają się dużym realizmem i trafnym rozwiązaniem poszczególnych wnętrz. Nie udała się jedynie mapa Skandynawii w drugim obrazie niepotrzebnie stylizowana na symbol — wystarczyłaby zwykła sztabówka. Wspomnieć trzeba wreszcie o pięknie wykonanych graficznie programach. Komitetowi Współpracy z Zagranicą należy się uznanie za to iście pionierskie na naszym gruncie wydawnictwo.

Rzadki to niezmiernie wypadek, by teatr jakiś pierwsze przedstawienie świeżo wystawionej sztuki dawał nie tylko nie w swej stałej siedzibie ale w ogóle poza granicami kraju. Toteż fakt warszawskiej premiery „Emilii Galotti" jest wydarzeniem dość niezwykłym, podkreślającym mocno, jak wielkie znaczenie przywiązuje zespół Drezdeńskiego Teatru Państwowego do swych występów w Polsce.

Dramat Lessinga przeważająca większość warszawskich widzów miała sposobność oglądać po raz pierwszy w swym życiu na scenie, mając o nim jedynie, i to nie wszyscy przecież, dość mętne wspomnienie z odległych czasów szkolnej lektury, a więc okresu wybitnie swą atmosferą nie sprzyjającego formowaniu się właściwych ocen dzieł sztuki. Obok zaciekawienia, jakie budził występ naszych drezdeńskich gości, odczuwało się jednocześnie pewnego rodzaju lęk towarzyszący zwykle współczesnemu widzowi, gdy ma zobaczyć na scenie którąś z pozycji klasycznego repertuaru, lęk przed rozczarowaniem, lęk przed „myszką" nie dającą się pokonać reżyserii i aktorom.

Drezdeńska inscenizacja „Emilii Galotti" rozwiewa już w pierwszym akcie te wątpliwości. Lessingowski tekst potraktowany z pełnym pietyzmem zyskał tu wspaniałą oprawę sceniczną. Zasługa to w równej mierze reżysera sztuki, Martina Hellberga co i całego zespołu. Hellberg poszedł po linii całkowicie realistycznego potraktowania dramatu, odtwarzając wiernie ducha epoki przy pomocy na tyle nowoczesnych środków ekspresji, na jakie tylko pozwala tekst i dążność do utrzymania klimatu prawdziwości psychologicznej osiemnastowiecznych postaci. Bohaterowie „Emilii Galotti" zostali uczłowieczeni przez odrzucenie sztucznego patosu i przejaskrawień rysów charakterystycznych w interpretacji poszczególnych ról.

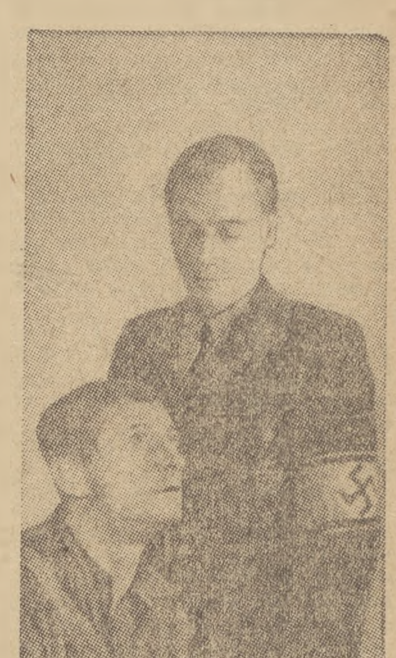
Dramat Lessinga dzięki swej konstrukcji i pełnym napięcia sytuacjom i dialogom przykuwa silnie uwagę także i współczesnej publiczności i jak każde dzieło o wielkiej wartości artystycznej narzuca pełne jego przeżycie.

„EMILIA GALOTTI", tak jak pokazał ją Teatr Drezdeński, jest utworem tętniącym życiem, głęboko ludzkim, dalekim od zimnych, zakrzepłych, klasycznych form, na które patrzeć można jedynie z pobłażliwym uśmiechem człowieka mądrzejszego o doświadczenie dwustu lat. Hellberg umiejętnie i z umiarem uwypuklił obecne w dramacie Lessinga tło społeczne warunkujące losy i działania poszczególnych postaci. Gotthold Ephraim Lessing nie miał w sobie zapewne nic z rewolucjonisty w mieszczańskim nawet typowo wydaniu, nie dotarł w swych przemyśleniach nawet do połowy drogi, którą odbyło wielu z jego współczesnych, zwłaszcza we Francji, nie miał ostrości widzenia encyklopedystów, ani ciętego, oskarżycielskiego pióra Beaurmachais. Potrafił przecież dostrzegać niesprawiedliwość społeczną, pogwałcenie wolności i praw ludzkich, tyranię i niewolniczy system i umiał je piętnować. W epoce ponurego despotyzmu ośmielał się pisać: „Narody, miłujcie się. Ludzie różnych obyczajów, charakterów i zdań pomagajcie sobie nawzajem, jesteście bowiem ludźmi". I dzięki temu umiłowaniu człowieka, mimo naiwnych poglądów politycznych i społecznych, jest nam bliski i dzisiaj. Nic też dziwnego, że za dzieła swe, a zwłaszcza za dramat „Natan der Weise", dostał się na hitlerowski indeks.

Postać Hettore Gonzagi, księcia Guartalli, rozpustnego i okrutnego władcy panującego, od których roiły się miniaturowe państewka włoskie w owych czasach, pokazana tu została z całą wyrazistością tkwiącego w niej zła. Tym wyraźniej, że książę w interpretacji Ortmanna nie jest całkowicie pozbawiony ludzkich odruchów, kiedy rodzi się w nim miłość do Emilii, przeżywa to uczucie i cierpienie na myśl o niemożliwości posiadania ukochanej jak każdy człowiek, przynajmniej w pewnych odruchach. Ale trwa to krótko, dla Hettore każdy sposób jest moralny, byle tylko zaspokoić swój kaprys. Zawsze jednak dba o pozory, chce mieć czyste ręce, brudną robotę zwala na innych, nie chce o niej wiedzieć i udaje, że nie wie. Dopiero po śmierci Emilii jak gdyby przedziera się do jego świadomości błysk zrozumienia popełnionych zbrodni — i wtedy jednak, gdy nazywa Marinellego diabłem, sprawcą całego nieszczęścia — nie zdaje sobie sprawy, że głównym winowajcą jest on sam. Wilhelm Ortmann, odtwórca tej roli, wywiązał się z niej doskonale, zarysowując postać księcia bardzo plastycznie, umiejętnie przy tym i z umiarem nakładając ciemne barwy. Alfons Mülhofer jako Marinelli wczuł się dokładnie w rolę przewrotnego, służalczego i gotowego do każdej podłości dworaka. Umiał się przy tym ustrzec od nadania swej kreacji cech satanicznych, które i tak zupełnie niepotrzebnie narzucał mu czarny strój i charakteryzacja. Hans Finzor (pułkownik Gallotti) grał z wielkim poczuciem realizmu, nie dając się ani przez chwilę ponosić superpatetycznym tradycjom interpretacji tej postaci. Miarą jego wielkiej kultury aktorskiej była przede wszystkim scena zabójstwa.

Helga Göring w roli tytułowej ukazała w pełni wszystkie cechy swego talentu, a zwłaszcza bogatą skalę ekspresji i bezpośredni styl gry, które dały się zauważyć w „Niemcach", gdzie odtwarzała epizodyczną postać Marikke. Lola Chlud w roli Claudii Galbotti chwalebnie ustrzegła się od szarży w scenach macierzyńskiej rozpaczy — na podkreślenie zasługuje jej dyskretne operowanie efektami głosowymi i oszczędny gest (kapitalna gra rąk w rozmowie z Marinellim). Tym samym umiarem przy jednocześnie wielkiej sile artystycznego wyrazu i niezwykle trafnej psychologicznie grze odznaczała się Antonia Dietrich w roli hrabiny Orsina.

Reszta zespołu, a więc znani nam już z przedstawienia „Niemców" Peter Herden (hr. Appiani), Willi Kleinoschegg (Conti) oraz Arno Hoffman (Rota) i inni wykazali wysoki poziom rzetelne opracowanie swych



Peter Herden (Willi) i Alfons Mühlhofer (Peters) w sztuce „Die Sonnenbrucks"

ról i dużą kulturę sceniczną. Jedynie Rudolf Flech (bandyta Angelo) trącił nieco sztampą swym sposobem poruszania się po scenie, gestami i kostiumem. Sztampą tradycyjnych bandytów ze Zbójców, „Fra Diardo" itp. — modelem, który od teatrów z Boulerord du Crime przewija się przez sceny aż do naszych niemal czasów, uwielbiany zwłaszcza przez prowincjonalne zespoły amatorskie.

Dekoracje Ulricha Damrau, wiernie odtwarzające styl i koloryt epoki, z którymi harmonizowały nienaganne stroje projektu Susanne Drechsel, otrzymały zasłużone brawa od warszawskiej publiczności.

Jerzy A. Górski

NAD ARKUSZAMI »PAX'U«

Poezja Bieszczadowskiego

Zgodnie z wyrażoną w artykule Z. Lichniaka „Ryzyko, które musi się opłacić" zapowiedzią, której realizację zapoczątkował w poprzednim numerze inny artykuł Lichniaka („O dwóch takich co kochają piękno"), kontynuujemy w numerze obecnym cykl omówień arkuszy poetyckich „Pax-u" zaznaczając, że poniższe omówienie twórczości Łepkowskiego i Bieszczadowskiego nie jest „ostatnim słowem", lecz — jak wszystkie omówienia tego małego cyklu — doczekać się mogą i powinny — uzupełnień oraz dyskusji. Do dyskusji tej szczególnie gorąco zapraszamy wszystkich, którym bliska jest sprawa młodej poezji katolickiej.

REDAKCJA.

MIKOŁAJ Bieszczadowski to jeden z obiecujących poetów katolickich. Niestety, „Muzyka przydrożna" nie ukazuje nam „dobrego" Bieszczadowskiego.

Wydaje mi się, że największą wadą niezwykle zdolnego, sądząc po takich rzeczach jak „Kwitnąca gałąź oliwna", „Żal za poległym przyjacielem", czy „Akacja", poety jest mała odporność na pokusę łatwizny. „Muzyka przydrożna" (tytułowy wiersz), „Ballada o drzewach", „Słowiki" są po prostu anachroniczne. Tradycyjność motywów i ich opracowania, nieco zwietrzała „poetyckość" np. „nad zieloną wodą pochmurną (Łka wątły głos) Posłuchaj — kląska poemat — (jątrząca jak srebrny smyczek) skarga miłosna" razi nas dzisiaj. Wprawdzie „Muzyka przydrożna" np. była napisana bardzo wcześnie, ale wobec tego nie należało jej umieszczać w zbiorku mającym nam ukazać najlepsze osiągnięcia (dlaczego np. niema „Żalu za poległym przyjacielem"). Niebezpieczeństwo „poetyzowania", ulegania młodopolskim konwencjom artystycznym zagraża tym silniej, że Bieszczadowski to natura uczuciowa, łatwo poddająca się kuszącym nastrojom np. nastrój wiejskiego cmentarza („Samotne wiejskie cmentarze"), czy nocy ze słowikiem i obowiązkowym księżycem. Cytuję:

„Skrzypce księżyca cichutko brzęczą
o nuty gwiezdne
w nocy tęsknotą dzwoni i boli słowiczy tercet"

Trzeba rzeczywiście dużego talentu, żeby z motywów tak ogranych wykrzesać coś jednak żywego, „strawnego". Ale to jest tańczenie na linie. „Moja ojczyzna dalsza niż gwiazdy — błękitne niebo" tym sformułowaniem (przypomina się Liebert — „Druga ojczyzna") poeta określa swój światopogląd i „metafizyczny", jak by powiedzieli marksiści, „ośrodek" twórczości, gdzie występują dwa najistotniejsze elementy chrystianizmu — miłość i cierpienie („Ziemia krwawi miłością — pługiem rozcięta jak mieczem. Matka skowronków, pól, głogów i wodnej głębi Siostra naszego cierpienia — córka drogi mlecznej"). Bieszczadowski najpełniej wyraził się jako liryk przeżyć religijnych w napisanym rytmiczną prozą „Koncercie Wielkopostnym". Ryzykowałbym przypuszczenie o jakichś zależnościach od Przybyszewskiego (ekspresjonizm — wyrażanie „najgłębszych pokładów duszy") w wizjach o dużej plastyczności. Cytuję: *„Krzyk kogutów załopotał czerwono. Ogniem łysnęło w blachach surm — echem odpowiedziały spłoszone wołania rogów. Ach jaki ból!"* albo *„Krzyk ogromny wstaje z trzewiów świata. Ach jaki krzyk"*. Motywy skruchy, bólu, oczywistość Boga (*„Nie odchodź — nie zapieraj się tak gorliwie, — na próżno zasłaniasz oczy i kryjesz w dłoniach twarz! Przez wątłą zasłonę palców przeciekła łuna rozpalonych niebiosów"*). wizyjność np. *„Na trupim łbie góry trzy słupy i oparta krzywo drabina. Wiatr szamoce szatę, o którą ciągnięto losy, wstrząsa narzędziami męki, — wieniec z cierni toczy się przez niebo. Przeciągle krzyczy miedź — skarżą się struny harf"*) umożliwiałyby zaklasyfikowanie „Koncertu Wielkopostnego" do poezji mistycznej.

Z „Medytacji na Dzień Zaduszny" wyróżniłbym doskonały „Żal za poległym przyjacielem". — Wzrusza niezwykła prostota formy wspomnienia, „humanizm", nienawiść do wojny, pragnienie budowania nowego świata, piękniejszego niż ten dotychczasowy, w którym było miejsce na wojny i nienawiść. „Którzy nie powracają" i „Samotne wiejskie cmentarze" trochę zbyt nastrojowe jak na mój gust i to z gatunku raczej „łatwych" nastrojów. Chyba najlepszym osiągnięciem Bieszczadowskiego jest „Kwitnąca gałąź oliwna". — Dialog, starcie się dwu całkiem odmiennych światopoglądów — materializmu i katolicyzmu. Poeta nie tuszuje różnic podkreślając zarazem szczerość i dobrą wolę obu stron, które łączy wspólna troska o ludzkość, wspólna walka o pokój (proszę mi wybaczyć, że „wulgaryzuję" tak wspaniały utwór, ale trudno tłumaczyć poezję na prozę).

Wydaje mi się, że Bieszczadowski osiąga najlepsze wyniki w prozie poetyckiej i to tam, gdzie stara się mówić najbardziej powściągliwie, najbardziej bezpośrednio, najprościej, gdzie unika łatwego poetyzowania, łatwych nastrojów — do takiego Bieszczadowskiego nam bardzo wiele zaufania.

Jan Prokop

P.S. Omówiłem tu nie tylko „Muzykę przydrożną", ale i inne rzeczy opublikowane w czasopismach.

Kronikarz zjawisk

TWÓRCZOŚĆ Łepkowskiego jest dosyć ciekawym zjawiskiem na tle współczesnej poezji. Zjawiskiem ciekawym przez swój... anachronizm. W okresie ogólnego dążenia do upraszczania metafory, do rezygnacji ze sztuczek formalnych uderza wytrwałe trzymanie się awangardowej poetyki.

Przypominam, co ongiś głosili Przyboś i Peiper. — Poezja to tworzenie „pięknych zdań", zaskakujących metafor, oryginalnych zestawień odległych znaczeniowo słów („okrucieństwo z cukru", „ryż natchnienia" etc.). Według Przybosia każde zdanie ma być wynalazkiem, czymś nowym, nieoczekiwanym, np. nie pociąg wpada na dworzec, ale odwrotnie — dworzec na pociąg, podobnie — plac pada nam w objęcia, czy pociąg nawija się na szyny. Socjologicznie można by to interpretować jako „zadzierżystość" oderwanego od mas mieszczańskiego inteligenta (stąd hasło sztuka dla sztuki i elitarność poezji dla dwunastu"), inteligenta buntującego się przeciw ustalonym konwencjom i szokującego burżuazja dosyć w gruncie rzeczy niewinnymi ekstrawagancjami.

Wracając do Łepkowskiego należy stwierdzić konsekwentną realizację postulatów awangardy („zaskakujące", „piękne" zdania, zestawianie odległych znaczeniowo wyrazów np. chodnik i tabliczka mnożenia, brak tylko wyraźnej konstrukcji, której tak domagała się ta szkoła poetycka). Cytuję:

„Biały chodnik — kratka betonu —
— tabliczka mnożenia kroków"
„Rowery rozcinają łopot gołębi"
„Staw opowiadał płaskie klaskania karpi"
„W zachodzie wyczytał się brewiarz".

Przyjęcie poetyki awangardy świadczy o raczej „intelektualnej" niż uczuciowej osobowości poety (o tym świadczyłaby także sprawozdawcza suchość np. „Katastrofy", gdzie mamy niezbyt zresztą udaną próbę udramatyzowania poezji), gdyż awangardowa metafora nie opiera się na jakichś uczuciowych skojarzeniach, ale właśnie „myślowych" — jest to czysto intelektualna kombinacja, „wymyślanie" najbardziej oryginalnych zestawień.

„Każdy śledź wytrząśnięty był celniejszym słowem" pisze poeta w „Połowie jesiennym" (nb. utwór słaby). Jest to bardzo charakterystyczne dla jego postawy wobec rzeczywistości. — Świat zewnętrzny dostarcza wrażeń tłumaczonych na język awangardowej metaforyki. Poeta staje się „krzywym zwierciadłem" rzeczywistości. I tu leży źródło słabości poezji Łepkowskiego. Postawa biernej obserwacji faktów, skrupulatne notowanie wrażeń i przeżyć powoduje braki formalne — niedowład konstrukcji. Wiersz ciągnie się jak tasiemiec, można by go pokrajać na kawałki lub przedłużać w nieskończoność (np. „Wieczór", „Widok z Kamiennej Góry"). Całość często sprawia wrażenie zlepku „plam" zdaniowych. Cytuję:

„Staw opowiadał płaskie klaskania karpi.
Rzadka noc kołysała trzciną u grobli.
— Przebudzenie trzeźwiło dreszczem.
W oczy przecierane kułakiem,
przeźroczysty ziąb skraplał świtanie.
Gwiazdy ulatywały krzykiem cyranek".

albo:

„Wzgórze weszło w ulicę
stopami odwilży.
Księżyc frunął od brzegu
najbliższej kałuży.
Przedwiośnie wypłynęło
na północny połów,
gdzie wielki węgorz Helu,
złote oko mruży".

Czynnikiem „porządkującym" jest po prostu kolejność spostrzeżeń. Ważne miejsce w twórczości Łepkowskiego zajmują wiersze—„komentarze" do utworów muzycznych np. świetny „Marsz Prokofiewa". Świadczyłoby to o „estetyzmie" autora (zresztą podobną cechę można dostrzec i w paru wierszach „reportażach" np. „Toruń" — poeta deszukuje się przede wszystkim malowniczości i swoistego egzotyzmu starych miast. Trudno z tego robić zarzut, jednak niepokoi brak określonej ideologii. Wprawdzie w „Suicie św. Huberta" jest wyraźna odautorska wypowiedź — *„chwycić przed zmierzchem kęs bycia"*. ale nie można tego drapieżnego witalizmu uważać za kościec, według którego układa się całość twórczości (nie wchodząc w to czy taka ideologia wystarczy). Szkoda, że na Śląsku zainteresowała poetę tylko zewnętrzna malowniczość przemysłowego pejzażu.

Wydaje mi się, że Łepkowski powinien porzucić dosyć wygodną postawę biernego „kronikarza zjawisk" a także... przestać polować na metafory (sam wyznaje, że *„trudno... z wietrzących się piernatów wytrzepać nowe metafory"* — zgadzamy się, że to trudne i... niecelowe).

Jan Prokop

P.S. Rozpatrzyłem tu mniej więcej całą twórczość poetycką Łepkowskiego, nie tylko arkusz „Kroki".

Sprawa bolesna

Postawmy od razu problem jasno. Potrzeba nam dzisiaj, może bardziej niż kiedykolwiek, dobrej współczesnej poezji katolickiej. Młode pokolenie poetów, które zaprezentowało swoje wartości ideowe i artystyczne w ramach wydanych ostatnio przez „Pax" arkuszy, nie stanowi jeszcze całego „aktywu". Oprócz dziesięciu „arkuszowców" publikuje swoje utwory (przeważnie na łamach katolickiej prasy prowincjonalnej) mnóstwo „poetek" i „poetów", którzy — z najszlachetniejszych być może intencji — szkodzą sprawie poezji katolickiej. O nich przede wszystkim chcielibyśmy na tym miejscu w ramach bolesnego przeglądu literackiej miernoty powiedzieć cierpkich słów kilkoro.

Sprawa jest bardzo ważna. Walcząc o poziom kultury katolickiej, występując często przeciwko wszelkim zakusom wulgaryzatorskim wobec poezji, musimy jasno i bezwzględnie oceniać własne błędy. Błędem, którego konsekwencje mogą być w skutkach nieobliczalne, jest rozluźnienie i obniżenie kryteriów oceny, pozwalających na publikowanie wierszy nic nie mających wspólnego z poezją. Błąd to tym większy, im szersza i poważniejsza jest funkcja społeczna katolickiej prasy prowincjonalnej.

Oto leżą przede mną trzy przypadkowo pochwycone numery trzech różnych pism. Nie będę teraz podawał tytułów tych pism. Może redaktorzy w porę wycofają się z niewłaściwych pozycji ludzi tolerujących szmirę i tandetę dewocyjną w najgorszym tego słowa znaczeniu. Przytoczę jednak kilka przykładów, aby problem nabrał koniecznej wyrazistości.

Oto nieznana nam bliżej Janina Lasocka popełniła wiersz pt. „Siewne ziarno". O ile się można zorientować, w wierszu tym chodzi o opis akcji żniwnej i wskazanie jej gospodarczego sensu. Zamiar, który można zrealizować w sposób ciekawy i twórczy. Niechaj fragmenty tego utworu zaświadczą swoją wymową o jego istotnej wartości.

Na początku wiersza czytamy:

„Na polu stoi młocarnia,
Trzęsie się, dygocze...
Każdym drgnieniem, każdym ruchem
Snopy zagarnia
Do brzucha.
Łomocze".

W dalszym ciągu dowiadujemy się, że:

„Lecą snopy, lecą w górę
Do „dziury",
Cepy młócą siewne zboże.

Pointa wiersza polega na tym, że:

„Bez spoczynku, bez wytchnienia
Biją cepy".

Całość tak pomyślanego i tak wykonanego utworu może posiadać jedną tylko funkcję społeczną: niszczy szacunek do poezji, prymitywizuje jej specyfikę oddziaływania, przyzwyczaja do tandety i miernoty estetycznej, przyzwyczaja do antyintelektualnego i antyestetycznego konstatowania faktów dla naiwnej i płytkiej satysfakcji mówienia „mową wiązaną". Wiersze tego typu przypominają — tu użyjmy jeszcze raz słów autorki „Siewnego ziarna" — że:

„Trzeba odsiać na tryjerze
poślad, chaber i kąkole,
plewę marną,
aby w czystą wpadło rolę
celne ziarno".

W innych pismach owej „plewy marnej" również nie brak. Oto autor lub autorka ukryta pod kryptonimem E. K. — publikuje krótki wiersz pt. „Do pamiętnika". Przytoczmy ten utwór w całości:

„Z uśmiechem na twarzy
przez życie swe idź:
czy los cię obdarzy
łaskami, czy pić
łzy będziesz —

pamiętaj,
że brzemię Twych trosk
pod wpływem uśmiechu
stopnieje, jak wosk!..."

Utwór ten przypomina i swoją zawartością myślową i swoimi walorami estetycznymi ten typ utworów, których przykładem może być znana z wielu pensjonarskich pamiętników potoczysta strofa:

„Kiedy umrę, kiedy skonam
kiedy już nie będzie mnie,
weź pamiętnik ten do ręki,
i przypomnij sobie mnie".

Oczywiście, można by całą sprawę potraktować humorystycznie, nie wydaje mi się jednak, żeby temat był wesoły. Sprawa jest—powtórzmy to raz jeszcze — bardzo poważna. Przykłady tu przytaczane nie bawić powinny, ale zastanowić i skłonić do refleksji oraz praktycznych konkluzji. Przerzucając bowiem strony trzeciego już z przypadkowo zebranych pism, dostrzec możemy łatwo, że wiersze, z którymi się spotkaliśmy poprzednio, nie są czymś wyjątkowym. Przeciwnie, są typowe dla wystąpień innych autorów, ukrywających się pod innymi pseudonimami.

Przeczytajmy choćby „Ufność grzesznika", którą w mowie wiązanej wyraża Cz. Wolniewiczówna:

„Brak mi tchu, brak mi snu,
Ale nie brak wiary.
Brak rodziny, nie brak winy
Bom ja grzesznik stary,
Wiem, że Bóg ze złych dróg
W tej starości mnie zawrócił
To też pewnie będzie mógł
W miłosierdziu kary skrócić".

Nic bardziej nęcącego, jak łatwe dowcipy, które można by przy tej okazji zaproponować czytelnikom. Nie o dowcipy jednak chodzi. Chodzi przede wszystkim o to, by panna Wolniewiczówna i wszystkie panny Wolniewiczówny i wszyscy redaktorzy drukujący wiersze panien Wolniewiczównych i wszyscy czytelnicy, czytający wiersze panien Wolniewiczównych zrozumieli, że wiersze panien Wolniewiczównych nie mają nic wspólnego z realizowaniem zadań poezji katolickiej, że wyrządzają tej poezji— być może mimowolną — ale wielką szkodę. Oczywiście, słowa te nie są atakiem na pannę Wolniewiczównę. Nazwisko to (lub pseudonim) jest tutaj tylko symbolem, symbolem wielkiego niebezpieczeństwa i wielkiego niedopatrzenia ludzi mogących mieć wpływ na katolicką politykę kulturalną w Polsce współczesnej.

Najwyższy czas, aby pisząc wiele o zadaniach katolickiej poezji, zająć się problemem tragicznych nieporozumień i tragicznych błędów, o których świadczą powyżej przytoczone przykłady. Przykładów tych można by przytoczyć znacznie więcej. I te jednak powinny wystarczyć dla obudzenia w nas wszystkich większej i konkretniejszej troski o naprawienie błędów, wynikłych ze zlekceważenia społecznej funkcji działalności kulturalno - literackiej katolików polskich. Kłóćmy się, dyskutujmy, ale nie pozostawiajmy sprawy jej własnemu biegowi, bo będziemy musieli krzepić się „poezjami" takimi, jak ta strofa, której wyznaczmy w tym artykule rolę bolesnej pointy:

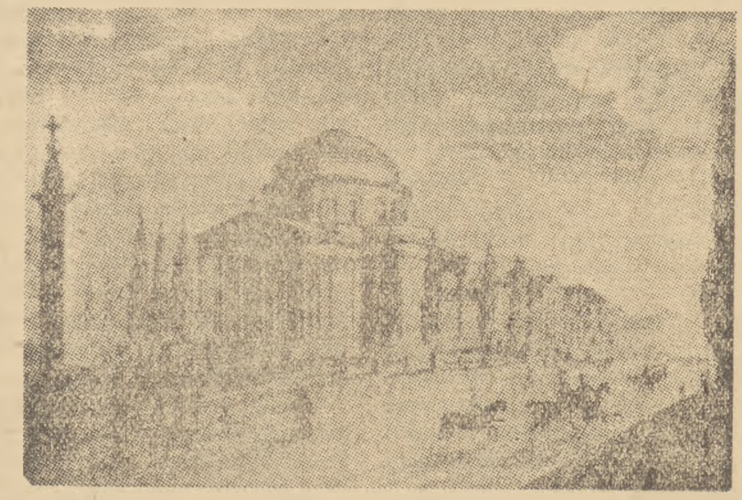
„Nie bój się konania,
Nie lękaj finału,
Bo wszyscy dojdziemy
Do kresu po mału..."

Z. L.

Bronisław Edward SYDOW

Warszawa — miasto Chopina

ZADANIE, które postawił Instytut Fryderyka Chopina autorom trzech głównych prac*) składających się na powyższą publikację, nie było łatwe do wykonania. Chodziło mianowicie o to, by dokładnie rozgraniczyć zasięg każdego z tych studiów, które w pewnych momentach zazębiały się tematycznie, należało unikać



Kosciol św. Aleksandra

powtórzeń lub niedomówień. Dzięki koordynacji swych prac autorzy wywiązali się z tego zasadniczego zadania doskonale.

Godny wstęp tworzy odezwa Instytutu Fryderyka Chopina i Komitetu „Uroczystości Narodowych Powrotu Serca Fryderyka Chopina do Warszawy" z dnia 17 października 1945 r. oraz przemówienie Prezydenta R. P. Bolesława Bieruta, wygłoszone w tymże dniu w Żelazowej Woli, w domu i izbie urodzenia Fryderyka Chopina. Piękne to przemówienie przypomina chwile, gdy delegacja, wiozaca samochodem urnę z sercem Chopina z Milanówka, gdzie od 9 września 1944 r. było ono przechowywane przez ks. Arcybiskupa Antoniego Szlagowskiego, spotkała się na szosie Warszawa — Sochaczew z samochodem prezydenckim i gdy Prezydent z odkrytą głową powitał serce największego narodowego poety tonów

Przypomina to owe chwile, gdy Prezydent Bierut, przyjmując w domu urodzenia Chopina w Żelazowej Woli urnę z sercem jego i składając ją w ręce ówczesnego Prezydenta stolicy Stanisława Tołwińskiego, na zakończenie swego przemówienia zwrócił się do Narodu ze słowami:

„Naród polski czci to Serce z takim samym uwielbieniem, z jakim twórca czcił i kochał swój naród. Podły najeźdźca z dziką barbarzyńską pasją deptał i niszczył najdroższe dla Narodu pomniki jego kultury i sławy. Ale nie ma i nigdy nie będzie siły tak brutalnej i niszczącej, która by pomniejszyć była zdolna twórczą moc osiągnięć duchowych Narodu...

Polacy — nadeszły dziś dni odrodzenia i przełomu. Niech miłość porywająca mistrza, która zaklęła w dźwiękach przecudnych i niedoścignionych najgłębszą treść duchową Narodu, Jego uczuć, wysiłków i tęsknot, budzi w nas nadal podniętę do czynu, którego wynikiem ma być moc i wielkość naszej Ojczyzny".

W następnym krótkim dziale, zatytułowanym „Warszawa miasto Chopina", skreślonym w imieniu Zarządu Instytutu Fryderyka Chopina przez jego wice-prezesa Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, został doskonale scharakteryzowany stosunek Chopina do Warszawy, która — chociaż nie była jego ani jego rodziców miastem rodzinnym, stała się jego miastem duchowym. Tu zrodziła się muzyka jego — o motywach czerpanych z pól Mazowsza i Kujaw podczas krótkich ale częstych pobytów na wsi, tu tężał i rósł duch jego w patriotycznej atmosferze ówczesnej młodzieży postępowej. Tu zrodziły się te więzy duchowe, które mimo prawie połowy życia spędzonego wśród obcych i na obczyźnie nie rozluźniły się — przeciwnie, wydawały się bardziej silne, im bardziej czas oddalał Chopina od owego tak szczęśliwego dlań okresu kształtowania się jego „ja" wewnętrznego.

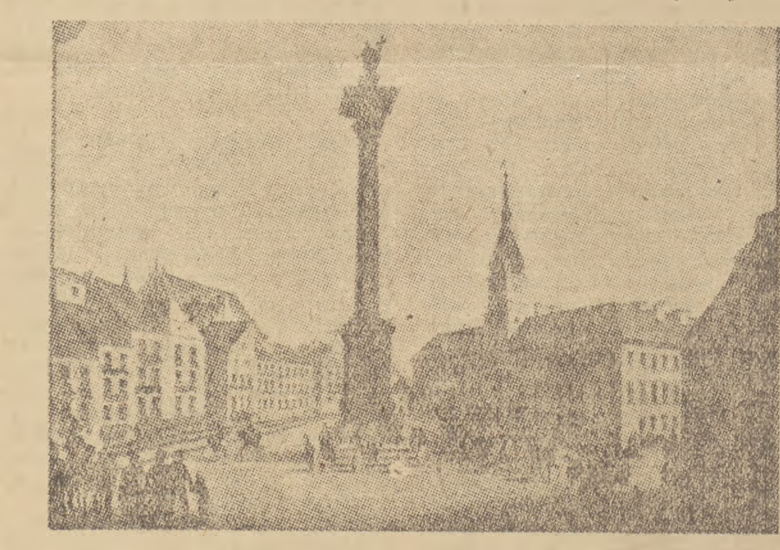
Studium o charakterze czysto biograficznym skreślił prof. Zdzisław Jachimecki na podstawie znanych powszechnie źródeł, nie wnosząc jednakże żadnych nowych szczegółów, jakie ujawniły ostatnie badania chopinowskie. Tak np. sprawa przybycia młodego Mikołaja Chopina, ojca Fryderyka, do Polski jest już obecnie całkowicie wyjaśnioną i wszelkie cienie i podejrzenia dotyczące przyczyn jego przyjazdu do Warszawy, które dotychczasowi biografowie Chopina rzucali na postać jego ojca, zostały usunięte. Wiadomym jest, że Mikołaj Chopin z wiedzą swych rodziców był wychowywany i kształcony w Nancy i ze swoim opiekunem Polakiem Weydlichem, przybył do Polski. Wiadomym też jest, na podstawie listu z jesieni 1790 r. pisanego z Warszawy do rodziców, że od chwili, gdy znalazł się w Polsce, komunikował się ze swą rodziną, dając dowody prawdziwego przywiązania.

W szkicu biograficznym prof. Jachimeckiego uderza też np. brak wzmianek o podróżach Chopina do Torunia i Gdańska latem 1825 r., w sierpniu 1826 r. do Dusznik, gdzie dał pierwszy swój koncert za granicą, do Berlina w r. 1828 itd.

Poza szkicem biograficznym prof. Jachimecki opracował bardzo pożyteczny chronologiczny wykaz utworów komponowanych przez Chopina do r. 1830, tj. do wyjazdu z Warszawy, wraz z krótkimi komentarzami.

Następny dział pt. „Życie miasta w latach 1810 — 1830" napisała znana ze swych studiów na temat starej Warszawy dr Janina Siwkowska. W obecnym szkicu, obejmującym 44 strony, autorka roztacza przed czytelnikiem niezwykle żywy obraz Warszawy z okresu dwudziestolecia, w którym Chopin żył w stolicy Polski. Głęboka znajomość epoki, niezmiernie subtelne wyczucie stylu i klimatu ówczesnej Warszawy, oparte na sumiennym zbadaniu źródeł, odzwierciedla życie Warszawy w szczegółach i szczególikach bardzo ciekawych i zajmujących, a dla większości całkiem nowych. Czytelnika ogarnia, pod wpływem tego fascynującego i pulsującego życiem opisu, całkowicie atmosfera ówczesnej Warszawy, żywa, pełna realizmu rzadko spotykanego, a bynajmniej nie sztuczna. Czuje się starą Warszawę, taką jaką była za czasów Chopina, widzi się jego młodzieńczą postać wyraziście na tle miasta, które tak bardzo pokochał i które mu dało tyle wzruszeń i przeżyć niezapomnianych.

Opis ten, odpowiednio podzielony podtytułami: Księstwo Warszawskie: Warszawa obozowiskiem — Królestwo Kongresowe: Sprawy



Zamek Królewski i kolumna Zygmunta

polityczne i gospodarcze, z podtytułami: Ruch wydawniczy, Sztuki plastyczne, Muzyka i Teatr, Rozrywki i uroczystości, obejmuje wszystko, co się składa na życie miasta i jego mieszkańców, tworząc tło dla uwypuklenia postaci młodego Fryderyka Chopina.

Jeśli dodać do tego, że studium to jest pisane stylem lekkim, błyskotliwym, czyniącym, iż bogactwo materiałów wniesionych nie ciąży bynajmniej czytelnikowi, lecz go porywa, otrzymujemy obraz tego, co autorka daje w tym bardzo udanym szkicu. Ciekawe i prawie nieznane ilustracje w tekście, w tym kilka karykatur postaci z epoki, podnoszą jeszcze charakter pracy.

Inny całkiem charakter posiada studium „Warszawa miasto Chopina" inżyniera Eugeniusza Stanisława Szwankowskiego. Jest to doskonały szkic urbanistyczny, przedstawiającego Warszawę z punktu widzenia czysto urbanistycznego i społeczno-gospodarczego, w ramach okresu dwudziestolecia pobytu Fryderyka Chopina w syrenim grodzie.

Jednocześnie z tym obrazem nakreślonym z prawdziwym talentem, został wpleciony w sposób interesujący wątek historyczny. Tym sposobem autor skupia uwagę czytelnika bez nużenia go.

Obraz Warszawy — miasta Chopina — w powiązaniu prac Janiny Siwkowskiej i Eugeniusza Szwankowskiego nabiera pełnych barw życia realnego.

Ostatnią część książki obejmują ryciny — 35 doskonale wykonanych tablic opartych na grafice z epoki, ze zbiorów Muzeum Narodowego i Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie oraz Mieczysława Idzikowskiego, dzięki którego inicjatywie i troskliwej pieczy nad wykonaniem każdego szczegółu powstała ta cenna praca. Ryciny te podnoszą w wysokim stopniu wartość treści tej pracy zbiorowej, uwypuklając doskonale obraz Warszawy takiej, jaką była za czasów Chopina a częściowo zachowała się, mimo ciężkich zniszczeń i przejść historycznych miasta w okresie przeszło stuletnim.

Fakt zachowania się niejednego ze szczegółów architektonicznych Warszawy z epoki Chopina spowodował, że wobec prawie całkowitego, niezwykle szybkiego wyczerpania się nakładu tej publikacji, który wartości dokumentarnej nie potrzeba podkreślać, powstała myśl ponownego wydania, w formie specjalnie podkreślającej niezwykły wysiłek Polski Ludowej, jakim jest odbudowa stolicy.

Jest mianowicie w projekcie i w stadium przygotowania nowe wydanie polskie, a jednocześnie cztery osobne wydania w językach: rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Wydanie to będzie się nieco różniło w tekstach, a również w dziale rycin pod tym względem, iż obok, a raczej na tej samej stronicy, poniżej sztychu lub litografii uwidocznionych w pierwszym wydaniu będzie przedstawiony, w nieco mniejszym formacie, stan obecny danego obiektu architektonicznego.

Takie ujęcie pracy będzie nie tylko dokumentem historycznym z epoki Chopina, lecz jednocześnie dokumentem wspaniałego wysiłku narodu polskiego, który z gruzów i zgliszcz wznosi na nowo w postaci oryginalnej — bez naleciałości późniejszych czasów — skarby architektoniczne swej stolicy. Będzie to żywy pomnik i wyraz ducha twórczego i kultury Polski Ludowej — ludu polskiego, którego tańce i pieśni uwiecznił Chopin w swej muzyce, niosąc ją w darze całej ludzkości.

Bronisław Edward Sydow

*) Warszawa miasto Chopina. Redakcja: Zdzisław Jachimecki, Mieczysław Idzikowski, Janina Siwkowska i Eugeniusz Szwankowski. Opracowanie graficzne — Andrzej Rudziński. Wydawca — Instytut Fryderyka Chopina — Warszawa 1950, pół folio, stron 113, 2 nlb., XXXV plansz ilustr., 3 nlb. Z subwencji Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego.

Generał Guderian wybacza

(Dokończenie ze str. 3)

temu nowemu zwycięstwu militaryzmu niemieckiego, zginając kark przed „Szwabem", kierownicza klasa Francji okrywa się hańbą, obnaża swe oblicze i przyśpiesza swój ostateczny upadek. Nie idzie o to, że jej ostatni poważny dziennik można uważać za upadły. Całość jej dotychczasowych narzędzi władzy ulega rozkładowi, jej kadry, jej „elity" i jej Państwo, które oddaje wrogowi klucze od domu i zrzeka się odpowiedzialności za historię. W oczach kraju, a kraj nie zapomniał, bo krwawią jeszcze jego rany, jakież znaczenie moralne mogą mieć wezwania ministrów do wysiłku i poświęcenia, wyroki trubynałów, dźwięk trąby bojowej i rozkazy mobilizacyjne sztabów generalnych? Spoza całej scenerii rządowej wyłania się groźna rzeczywistość — dziś już nie w charakterze cienia. Heinz Guderian, wczoraj wódz naczelny armii Hitlera, dzisiaj nadzieja burżuazji zachodniej.

Czy jutro Fuehrer zmobilizowanej i zkolonizowanej Francji? — Nie. Gdyż los naszego narodu wymyka się z rąk klasy, która wyzbyła się sumienia i sprzedała swą cześć".

Dominik Horodyński

SPROSTOWANIE

W reportażu Jana Sowy pt. „5 minut z wszechświatem" (Dziś i Jutro z dnia 16.IX.1951) zauważono następujące błędy drukarskie:

W szpalcie 5-tej w wierszu 32 od góry zamiast „Cokolwiek żyje pod ustawiczną presją dręczącego pojęcia wieczności" powinno być: „Człowiek żyje pod ustawiczną presją dręczącego pojęcia wieczności". W zdaniu następnym zwrot „odnaleźć właściwą propozycję pomiędzy sobą a światem" powinien brzmieć „właściwą proporcję", co niniejszym prostujemy.

O wszystkim po trochu

NIEFRASOBLIWE KRAWATY

Sąd administracyjny w Furth skazał pewnego kupca tekstylnego na 250 marek kary, ponieważ sprzedawał on nieobyczajne krawaty, importowane z



USA, które były upiększane nieprzystoitymi, ręcznie malowanymi aktami kobiecymi. Obrońca nadaremnie stał na stanowisku, że przecież to była tylko nieszkodliwa „erotyczna niefrasobliwość". Dziwne, gdyż tak samo uważa się przecież w USA, gdzie podobna pornografia kwitnie w wielu dziedzinach.

KŁOPOTY PANA MINISTRA

Ciężkie zaiste zadanie będzie miał p. Roger Duchet, świeżo mianowany „Minister Turystyki i Awiacji cywilnej i handlowej". Francuski oficjalny Dziennik Ustaw wymienia jego obowiązki i ustala zakres działalności:



1. Turystyka, obsługiwana dotąd skuteczne przez zwykłe biuro,

2. Lotnictwo turystyczne i sportowe, istniejące, jak wszystkim wiadomo, jedynie na papierze,

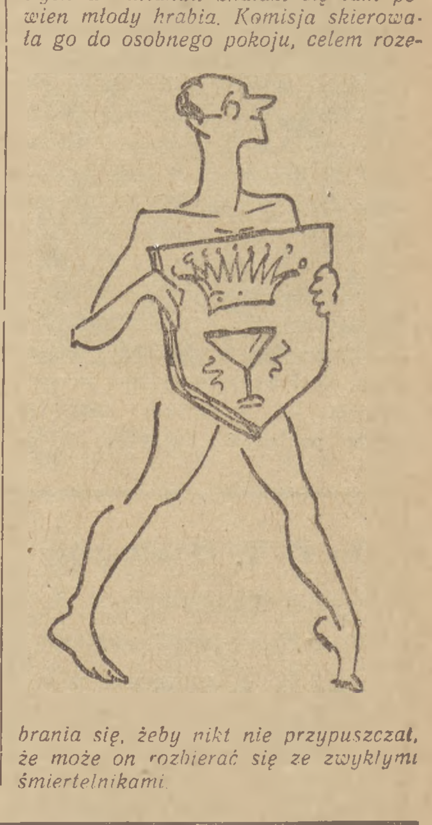
3. Państwowe Biuro Meteorologiczne,

4. Państwowy Instytut Geograficzny.

Cóż, w zmarshalizowanej Francji ważne są synekury, a nie wykonywanie zadań dla dobra obywateli.

ATLANTYCKA DEMOKRACJA

W czasie badania duńskich poborowych w Jutlandii znaleźli się tam pewien młody hrabia. Komisja skierowała go do osobnego pokoju, celem roze-



brania się, żeby nikt nie przypuszczał, że może on rozbierać się ze zwykłymi śmiertelnikami.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p., tel. 8.80.71, 8.80.26. Konto PKO — Nr I-727
Sekretariat redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych Kwartalnie 5.40 złotych
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 3. Zam. 2505. 2-B-42152.